ŻYCIE

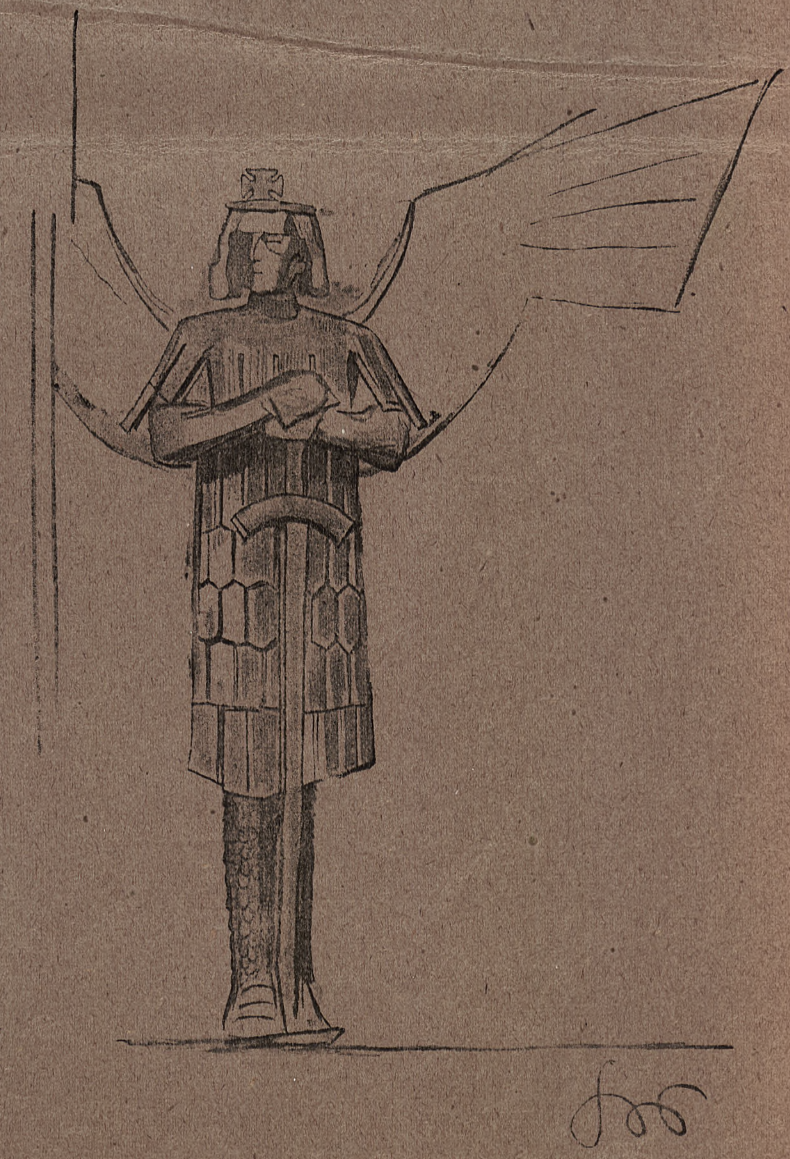
ROCZNIK I. ZESZYT IX.

DNIA 26. LISTOPADA 1910 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor naczelny: GUSTAW DANIŁOWSKI.
Redaktor odpowiedz.: JULJUSZ ŁOPATKA.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA WE LWOWIE,
:: ULICA DWERNICKIEGO L. 11 A. ::

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ“ („KURJERA LWOWSKIEGO“) LWÓW, CHORĄŻCZYZNA 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“. :: WE LWOWIE I WIERZBICKIEGO W WARSZAWIE. ::





ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

WŁ. ORWID.

W ROCZNICĘ LISTOPADOWĄ.

Dzieli nas lat osiemdziesiąt od owej płomiennej nocy, kiedy wystrzał belwederski porwał na nogi zhołdowaną przez najazd Warszawę i bruk stolicy stał się widownią krwawych i bohaterskich zdarzeń.

Pomimo tylu lat, ognie tej nocy biją ku nam niewygasłą łuną — data 28-go listopada i jej następstwa podnoszą w sercu zawieruchę uczuć, targają je tysiącem wzruszeń. Cieniami śmierci zaszło już dawno wszystko: heroizm i małoduszność, dzielność i niedołęstwo, bitność żołnierza i brak decyzji wodzów, zwyciężeni i zwycięzcy złączyli się w mogile, ale pozostały wyżółkłe karty, świadectwa historji, wstrząsająca lektura, podczas której, jakkolwiek świadomi finału, z zapartym oddechem, z gorączką w skroniach przeżywamy na nowo wszystkie akty dziejowej tragiedji.

Drżymy o los spiskowców, wdzierających się w pałacowe komnaty, błagamy wraz z Prądzyńskim Skrzyneckiego, by nie zwlekał, lecz szedł w bój, wołamy wraz z Mochnackim, że wzięcie Warszawy nie jest ostateczną klęską „bo gdzie staniemy obozem, tam będzie stolica Polski"; płoniemy gniewem, gdy dyktatorzy wdają się w dyplomatyczne szacherki, podczas gdy się bić powinni...

Ze łzami u kresu Ojczyzny łamiemy sterany karabin i ruszamy na tułactwo.

Włóczy się nasza myśl szlakami emigracji i w tej pielgrzymce uderza nas znamienne zjawisko: nie rozpaczą, nie rezygnacją, ale rewolucyjnym tętnem, niezwykłym rozmachem ducha tchnie ówczesne wychodźctwo, bój wyniesiony po za granice kraju toczy się dalej w sferze idei.

Gienjusz narodowy w osobie Mickiewicza, Słowackiego, Chopina i całej plejady współczesnych wzbija się na wysokości nieznane ani przedtym ani potym — myśl wolnościowa i de-

mokratyczna dociera do najgłębszych źródeł krzywdy i domaga się wymiaru powszechnej sprawiedliwości, bez żadnych ograniczeń, kompromisów i zastrzeżeń. Emigracja pozostaje w dalszym ciągu płomiennym wulkanem rewolucji, którego krater wybucha wszędzie, gdzie tylko załopoce sztandar walki o wyzwolenie — w każdym ruchu burzącej się podówczas Europy spotykamy na zaszczytnym stanowisku imię Polaka.

Tułacza wojna po zbieganiu obcych pól na podobieństwo legjonów wraca po latach do kraju na dawny plac bitwy, by jeszcze raz płomień zapalić, przypomnieć Styczniem Listopad i zapaść się w ziemię. Na zgliszczach listopadowych krzewiło się bujne drzewo wolności — na cmentarzysku Styczniowym rozplenił się chwast filozofji niewoli. Upadek ten ducha najwymowniej świadczy o upadku warstwy dźwigającej do tej chwili sprawę Polski. Szlachta nietylko przestaje być wulkanem, ale przeobraża się w czynnik zasklepiający krater, wrzący w głębi nową lawą, zrazu ciemnych, a potym coraz bardziej świadomych drgnień ludu, czując i rozumiejąc, że ten wybuch z posad ją wysadzi, że istotą nadciągającej dziś rewolucji nie może być jedynie restauracja Polski jako niepodległego państwa, ale i silna przemiana stosunków społecznych.

W masie szlacheckiej upadłości w rubryce strat widnieje roztrwonienie tradycji rewolucyjnych, dewastacja bojowych sztandarów, starganie purpurowych wieńców listopadowej chwały. Szczątki pragnęłaby może zatrzymać w lamusie narodowych pamiątek, ale jej spadkobierca z całe spuścizny to własnie zabiera, do tego najwięcej się rwie...

Rocznica Listopadowa nie jest już dla nas jedynie wykładem historycznym, galowym przedstawieniem, lecz staje się zapaloną wicią lecącą z przeszłości, waleczną pobudką, od której dźwięku wzbiera ludu pierś.

Z bruku miast wyrośli, urodzeni wśród skib, których na rozkaz z Belwederu rozstrzeliwano po ulicach Warszawy i Łodzi, katowano po wsiach, szykują godzinę sowitej zapłaty.

Na placu Saskim ćwiczył namiestnik carski dzieci Warszawy — czwartaków, szkolił w koszarach podchorążych — nauka nie poszła w las.

Na placu Teatralnym ćwiczyli kozacy zgromadzony przed ratuszem stołeczny lud, rząd zamienił fabryki i szkoły w koszary, cały kraj w marsowe pole — ta nauka także nie będzie daremną. Nie powinniśmy się jednak zwodzić tą analogją czysto werbalną. Ucisk i tortury rozdrażniają niewątpliwie, ale wrażliwość z czasem tępieje, poniewierany systematycznie naród zatraca godność, moralnie upada i marnieje, o ile nie potrafi wydobyć z siebie należnej odpowiedzi za gwałt.

Drobne potyczki orężne, które przynoszą nam kroniki bojowe pism rewolucyjnych, są to właśnie pojedynki staczane w obronie tego honoru, potężne świadectwa lecące z ust do ust radosną wieścią po kraju, że ludność policzkować się nie pozwoli bezkarnie, że ma swych podchorążych, przed którymi dziś Belweder otacza się kordonem żołdactwa, bo nietylko my, ale i on już wierzy, iż może się z martwych podźwignąć ta wielka, płomienna listopadowa noc.



ANDRZEJ NIEMOJEWSKI.

TEORJA I RZECZYWISTOŚĆ.

Nie wiem, czy może istnieć chwila tragiczniejsza nad tę, którą obecnie przeżywa Warszawa i Królestwo. Represje rządowe są w pełnym marszu, wszystkie instytucje oświaty ludowej zamknięte, wszystkie związki rozbite. Nad robotnikiem polskim objął komendę ksiądz, a co się wymknęło z pod komendy księdza, wpadło w ręce Warskich i Radków, wykładających publicznie, że „Polska to trup, który proletarjat po jej śmierci powstały kopnąć i odrzucić powinien“.

Igdy demagogja ta najlżejszy objaw patryjotyzmu piętnuje jako reakcję, gdy za obchód grunwaldzki stara się przedstawić socjalistów galicyjskich jako „pachołków szlachty i konserwatystów“, równocześnie staje żarliwie w obronie nacjonalizmu żydowskiego i wszelki odruch przeciwko niemu zwie rozszalałym antysemityzmem. Wzywa do Beblów i Jauresów, dyfamuje Polskę w dziennikach niemieckich i rosyjskich, nie cofa się nawet przed takimi „sposobikami“, jak apel

do „śpiewających knajp", gdzie kankaniści przebierają się za działaczy, walczących z żydowskim nacjonalizmem, i publicznie ich wydrwiwają ku wielkiemu gaudjum publiczki, która w międzyaktach rozbija sobie głowy butelkami od szampana. Nacjonalizm żydowski zmobilizował wszystkich zgrzybiałych „teoretyków", którzy jeszcze wciąż patrzą na socjalizm jako na antytezę narodowości. W najlżejszym objawie patryjotyzmu widzi się „wstrętny nacjonalizm" a protest przeciw socjal-litwactwu uchodzi za objaw „antysemityzmu postępowego". To nie są żadne tajemnice, to dzieje się publicznie, o tym wie każdy, kto czytał dzienniki i perjodyki z ostatnich dwóch miesięcy. Gdy więc w mowie Paderewskiego na zjeździe muzyków we Lwowie wyczytałem potępienie tej orgiji antypolskiej, zdawało mi się, że żaden patryjota słów jego nie zakwestjonuje.

Tymczasem leży przedemną „Protest" czyli „List otwarty" do Ignacego Paderewskiego z powodu mowy jego na inauguracji chopinowych uroczystości dnia 28 października 1910 roku, z podpisem p. Henryka Strengera, podającego się za „żołnierza" polskiego. Słowa nagany Paderewskiego bierze on w niespodziany dla mnie sposób do tych polskich socjalistów, którzy nietylko walczą za naród, ale tu na gruncie warszawskim bywają jako „socjal-patryjoci" wyszydzani i za reakcjonistów podawani. Autor listu otwartego mniema, iż Ignacy Paderewski popełnił „tragiczną omyłkę", gdy my tu w Warszawie „omyłkę" raczej u kogo innego namacalnie postrzegamy. Ze słów Paderewskiego, wiernie przytoczonych, wcale nie wynika, by zarzut wołania „precz z Polską" kierował on w stronę „żołnierzy" polskich. Czemuż tedy ci „żołnierze" podstawiają się pod zarzuty w nich nie mierzone? Dla nas, którzy widzimy słowa Paderewskiego i jego oponenta tylko na papierze, taki „protest" przygnębiające wywiera wrażenie i mógłby nawet zbudzić myśl, iż ma on na celu zakryć Radków i Warskich postaciami Okrzejów i Montwiłłów*).

To za punkt wyjścia wziąwszy, winienem zaznaczyć, jak to zresztą powszechnie wiadomo, że socjalizm polski w Galicji, przeszedłszy przez szkołę ćwierćwiekowej już bodaj działalności publicznej, stał się naturalnym i przystosowanym biologicznie organem poskiego ciała narodowego. Przodownicy jego, posiadając poczucie rzeczyczywistości, mniej dbali o zmienne i modyfikacjom podlegające teorje, natomiast spojrzeli w życie, w dzień powszedni, nie rezonują wiele o przyszłych ustrojach i państwach przyszłości, ale zmagając się z okropną teraźniejszością i jej zagadnieniom mozół swój poświęcając, zorganizowali proletarjat, stworzyli z niego siłę polityczną, wprowadzili jego reprezentację do parlamentu wiedeńskiego i do galicyjskich rad miejskich, biorą żywy udział w życiu społeczno-narodowym, przeto o czynach ich wiemy więcej, niż o teorjach społeczno-ekonomicznych, które dziś przestały być przedmiotem rozmyślań polityków praktycznych i dostały się na warstat czystej nauki. Czy będzie jakiś inny ustrój, przewidywany przez teoretyków starszego typu, czy nie będzie, to jest zagadnienie badań a nie wiar społeczno-politycznych; walka o prawa robotnika nie może zależeć od tego, czy się komuś uda lepszą lub gorszą ukuć teorję. Bo gdyby nawet runąć miały konstrukcje teoretyczne wszystkich Marxów, Lassalów, Engelsów, pozostanie sprawa robotnicza, związana z życiem gromadzkim i jednostkowym. Jeżeli jednak teorje przyszłościowe utraciły znaczenie praktyczne w państwach konstytucyjnych, więc także dla takiego kraju jak Galicja, to u nas rzecz przedstawia się inaczej. U nas socjalizm nie może żyć konstytucyjnie, doświadczenie codzienne poucza nas, że istnieje on tylko albo jako jakaś praktyka, albo jako jakieś teoretyzowanie. I oto jest rzeczą ciekawą, że po rozbiciu partji socjalistycznych pewna część prasy warszawskiej, spekulująca na czytelników w sferach robotniczych, a z powodu warunków cenzuralnych nie mogąca poświęcać się omawianiu zagadnień praktycznych, wciąż stara się oczy ogółu myślącego odwrócić od rzeczywistości w sferę teorji. Nie ten jest socjalistą, który za sprawę robotniczą wycierał się po więzieniach, tylko ten, który uznaje taką lub inną teorję, bardzo nieraz fantastyczną.

I oto ci ludzie w sposób dość prymitywny podzielili sobie pogłowie Królestwa Polskiego na proletarjat i burżuazję. Z ich podziału wynika, że proletarjat, stanowiący u nas 5% ludności, każdej chwili i na każdym miejscu powinien się przeciwstawiać burżuazji, która jest resztą, czyli 95%. Teorja ukazuje im tylko kapitał i pracę. Nie widząc bagnetu i nahajki, uciskających nawet kapitał, widzą tylko kapitał, będący rzekomo bagnetem i nahajką. Teorja mówi im dalej, że wzrost kapitalizmu pociągnie za sobą wzrost i zwycięstwo proletarjatu, głoszą więc rozwój koniecznościowy kapitalizmu, aby mieli co zwalczać. Żadne inne zagadnienia dla nich nie istnieją. Wierząc w wielkość rynków, „kitują" Polskę z Rosją; wierząc w teoretyczną łączność proletarjatów, nie chcą widzieć, że proletarjat rosyjski w Królestwie pod opieką rządu żyje wygodnie jako „naród panujący" i śmieje się z naszych domorosłych teoretyków. Ale nic zabawniejszego nad pojęcia owej „burżuazji", „polskiej" naturalnie. Dotąd Polacy biorą bardzo mały udział w przemyśle. Przemysł spoczywa w ręku niemców, francuzów, belgijczyków, anglików, włochów, rosjan, żydów litewskich i zaledwie w maluchnej cząstce polaków. Rola jego w Królestwie Polskim jest wysoce ciekawa. Ma on niby to „uprzemysłowić" kraj nasz, robić go „ekonomicznie postępowym". Głoszą to owi fabrykanci i głoszą to „esdecy". Któż jednak pofatyguje się do Łodzi, Częstochowy, Zawiercia, Dąbrowy? Kto spojrzy rzeczywistości w oczy? Kto odwróciwszy się od teoryjek sięgnie wzrokiem w życie samo jako takie? Ów „kapitalizm" a może „industrjalizm" stworzył u nas jedynie p o z ó r uprzemysłowienia kraju a w rzeczywistości jest on tylko tego kraju niszczycielem materjalnym i moralnym. Obcy przybysze

---

*) Zdaje nam się niestety, że Henryk Strenger nie był w błędzie wyczuwając ostrze słów Ignacego Paderewskiego zwrócone przeciw całemu postępowi i socjalizmowi w Polsce, bez różnic, z których Paderewski, informowany jednostronnie, nie zdaje sobie sprawy.

Redakcja.

sprowadzają z zagranicy półprodukt, każą nam go przerabiać na produkt i produkt ten wywożą natychmiast po za granice Królestwa na rynki wschodnie. My tylko mamy z tego: zniekształconą powierzchnię ziemi, okopcone i zrąbane lasy, popsute drogi, wyniszczony cieleśnie i duchowo lud, do fabryk zwabiony, orgję braterstwa biurokratyzmu z industrjalizmem, walkę klas, za czyny obcych fabrykantów podburzonego robotnika przeciw nic tu nie winnej ojczyźnie i ów szczególny internacjonał komiwojażersko-endecki, wreszcie teoretyków, którzy nawet zespoły ludowe nazywają „radykalną“ wprawdzie, ale bądź co bądź „burżuazją“. Młodzież nasza, zawsze lecąca na lep teorji a unikająca zagadnień żywego życia, zaprząta sobie głowy licho wie jakiemi „ekonomizmami“, a żywe to życie, tragicznie, przez wszystkich deptane, bez praw i opieki, woła nadaremnie o pomoc zduszonym głosem. Gdy nas więcej interesować powinno zagadnienie drobnego domowego przemysłu, gdy raczej na Szwecję i Danię powinniśmy oczy zwracać, małpujemy niemców, ich zagadnienia na grunt nasz ślepo przenosimy i mimowoli schodzimy na jakąś bezładną gromadę, tłukącą się między industrjalizmem i esdecyzmem, przez jednych i drugich popychaną pogardliwie. Wiedeń nas ubiera, Berlin mebluje, przemysł nasz ludowy, którego wyroby, jak n. p. kilimy, zaimponowały anglikom, uchodzi za ekonomiczną przestarzałość, nie staramy się, jak „ciepła północ“ (Szwecja, Danja, Finlandja,) własną kulturę uszanować i dźwignąć do wyżyn samostarczalnego i wysoce oryginalnego typu, lecz staramy się być przedrzeźnioną Germanją. Milsza nam rozłażąca się w rękach materja wiedeńska, niż chłopska tkanina księżaków łowickich, wolimy trzeszczący stołek od prostego, ale tęgiego zydla, kabaret przedmieść paryskich bardziej do nas przemawia, niż hulaszcza lub tragicznie smutna piosnka ludowa, nie zrozumieliśmy podstawowych zasad biogenezy narodowej kultury, która z pnia rodzimego pędzi drzewo, ale nie zrywa kwiatów na obczyźnie i nie wtyka ich bez korzeni w piasek swojski, gdyż w kilka godzin uschną...

„Esdecyzm“ rzeczywiście wniósł nam nienawiść do wszystkiego co swojskie. Paderewski wcale się nie mylił. I tu pozwolę sobie uczynić pewne spostrzeżenie historyczne, a sądzę, że prawdziwy „żołnierz“ polski przyzna mi słuszność. Gdy od stu lat na lewicy polskiej powstawały partje i związki, których zasadniczym programem było zawsze nieść ojczyźnie pomoc, trzebaż było dopiero naszych czasów, by w łonie tej lewicy powstawały zrzeszenia, jawnie przeciw ojczyźnie skierowane. Narzeka się na szlachtę wieków dawnych, że stawiała wyżej interes swej klasy nad interes narodu. Czyż współczesny „esdecyzm“ jeszcze dalej od niej nie idzie? Szlachta dawna tylko walkę za ojczyznę warunkowała zaspokojeniem swych żądań, tymczasem „esdecyzm“ w walce o korzyści klasowe za punkt wyjścia obrał zasadnicze przeciwieństwo do wszelkich ruchów narodowych. Przecież przytaczam niemal dosłownie to, co każdy może przeczytać! To jest absolutnie pewną prawdą, że gdy w polskość mierzył rząd, na gruncie naszym chciano z socjalizmu uczynić również młot, rozbijający nasz byt narodowy. To u nas w ostatnich czasach drukowano. Paderewskiego nikt nie okłamywał, on się nie mylił, przeciwnie, wcale jeszcze wszystkiego nie wypowiedział, co się tylko tym tłomaczy, że przemawiał na zjeździe muzyków a nie polityków! Ale chyba minęły czasy, w których mięszało się Okrzejów i Radków a wystąpienie nieznanego mi zresztą bliżej p. Strengera wydaje mi się właśnie omyłką na dawnych czasach opartą. Wątpię też, czy to, co dziś publicznie w Warszawie parzy socjalizm, na miano socjalizmu zasługuje. Ten socjalizm, który tu czyni wielki krzyk, został wzięty w arendę przez nacjonalizm żydowski, dla obrony wyłącznie jego interesów. Gdy rząd wystąpił z projektem samorządu, ci pseudo-socjaliści w sposób charakterystyczny zwrócili tylko uwagę na to iż projekt ogranicza żydów; ale ślepi byli na to, że ogranicza Polaków, proletarjat, lud miejski, że nie jest demokratyczny. I gdy równocześnie „esdecyzm“ piętnuje prywatną szkołę polską jako „primieniennuju k podłosti“ dyskretnym milczeniem pokrywa uroczyste otwarcie w Lublinie prywatnego gimnazjum żydowskiego z wykładowym językiem rosyjskim, przy której to sposobności rabini „ciaćkali“ się z dostojnikami rządowymi. Nie wyobrażam sobie poprostu większej i obrzydliwszej orgji nad tę, na którą teraz tu patrzymy. Niech „żołnierz“ polski zajrzy do Warszawy, niech przeczyta „lewicowe“ perjodyki, niech przypatrzy się przebranemu za socjalizm nacjonalizmowi żydowskiemu. Polityka „istinnorusskich ludiej“ jest jasna: najpierw za pomocą socjallitwactwa wyprze się z posad żywioł polski, a potem urządzi się jeden lub dwa „pogromy“ i teren Królestwa będzie oczyszczony dla kolonizacii. Nacjonalizm żydowski jest krótkowzroczny; dziś pomaga kraj rusyfikować, jutro pójdzie pod nóż „czarnosecińców“. My tu dziś żyjemy życiem przybyszów na rodzinnej ziemi; powiedzieć głośno tylko tyle: „Jestem Polak“, a wrzask się podniesie, że to reakcja, że to antysemityzm, że to przemówił wróg ludu pracującego. Nic nie pomoże powoływanie się na swą wieloletnią pracę właśnie dla tego pracującego ludu... Niestety, Paderewski, muzyk, tyle lat żyjący po za krajem, nie mógł wszystkiego wiedzieć i powiedzieć. Nas trzeba pytać, o ile jeszcze ktoś tam chce nas o coś wogóle pytać i o ile my wogóle będziemy mieli jeszcze na własnych ongi śmieciach jakiś głos...

GUSTAW DANIŁOWSKI.

LISTOPAD.

Drzemie stolica czujnie, jak niewiasta,
Do której łoża wstrętny gwałt się wkrada.
Cicho. I tylko, gdzie drzewo wyrasta,
Z chrzęstem miedziany liść waży się, spada.
Listopad błądzi po zaułkach miasta.

Głuche ulice związane snu pętem,
Czasem ktoś przemknie i wsiąknie we wrota.
Dworski się pojazd przetoczy z tętentem,
W alei gałąź sucha zadygota
I na bruk strząśnie plamy krwi i złota.

W Łazienkach — rdzawej podobna zamieci —
W strzępach z drzew szata osuwa się lita
Na most w arkadach, gdzie biały Jan Trzeci,
Zgarnąwszy jeńców pod konia kopyta,
Jak pomnik sławy skamieniały świeci.

A bachmat jego tak się dzisiaj wspina,
Jak gdyby runąć miał znów do ataku.
Przy boku króla zbiera się drużyna,
Rozdziela oręż — czeka w niebie znaku.
U stóp ich złoto, nad głową — noc sina.

Wkoło Listopad szumi chciwy żeru,
Krąży i leci, by zanieść liść krwawy
Na próg pałacu, w ogród Belwederu.
Niesie za sobą groźny cień Warszawy,
Orszak widm zemsty, ciągnący bez szmeru.

Pożar nad Wisłą gorąco się pali.
Śmierć Tyranowi! — buchnęły okrzyki.
Padł szyldwach, trupem jenerał się wali,
Jak liść drży książę w alkowie podwiki...
Hula Listopad w pałacowej sali.

Wypadł na grzmiące podchorążych strzały,
Nad ich bagnetem, co błyska już krwawy,
Z mocnej purpury zwinął wieniec chwały
I w lśniących liściach wiedzie do Warszawy
I wichrzy tłumy, by do broni wstały!

I jego potym to poświst czerwony,
Kiedy sejmowe zebrały się stany,
Zerwał carowi blask polskiej korony;
On niósł na bitwy na śmierć i na rany...
Zagasł i minął... ale nieskończony...

Bo cóż, że blada dziś jesieni pora
Z dawnych konarów zgorzel sypie sucha,
Że barwa liści jest zgniła i chora,
Że listopadu westchnień nikt nie słucha,
A młode pędy dławi martwa kora.

One się przecież wydrą z tej uwięzi.
Dumną czerwienią jesień się zapali,
I znowu szyldwach pod ciosem zarzęzi,
Listopad wtargnie w Belweder i w sali
Pohula spiekłą krwią nowych gałęzi.

A. STRUG.

MOGIŁKA.

8)

Pułkownik przestraszył się tej wizji. Przysiągłby, że to nie był sen. Długo wpatrywał się w polanę i ze śladami pewnej podejrzliwości badał cienie pod bukami.

— Panie Chądzyński, — spytał — co to są halucynacje?

Pan Chądzyński czytał coś ze swojego wielkiego notesu. Czytał właśnie swoje wiersze, napisane podczas długiego obozowania przed dwoma miesiącami. Za wielkiego poetę się nie miał, ale wiedział, że w każdym jego utworze jest jakaś iskierka. Utwory swoje lubił i teraz przeglądał je, jak gdyby się z nimi żegnając. Albowiem przypuszczał, że te rzeczy już zaginą — a swojej rychłej śmierci w tych lasach był pewien i o tej godzinie tak samo jak rano i w ciągu całego tego dnia.

— Halucynacje, panie pułkowniku, są objawem nienormalnie funkcjonującego mózgu. Ot naprzykład z przemęczenia.

— A jak się pokaże właśnie coś takiego, jakby to ktoś naumyślnie przed człowiekiem ułożył? Taka jakaś najtajemniejsza myśl, czy chęć... Jakby to sam djabeł wymyślił?... Taka zjawa musi coś znaczyć — to chyba przeczucie... jakieś jasnowidzenie? co?

— A co pułkownik zobaczył?

— Et, głupstwo... Zmordowany jestem i tyle.

— Pułkownik nie jadł dzisiaj nic?

— Nie mam apetytu.

— Nie zostawiliśmy pułkownikowi ani jednego kartofla. Hańba!

— Gorsza hańba, żeśmy zbłądzili. Prawdę powiedziawszy to nie wiem, w którą stronę iść. To jest dopiero hańba! A wieczór za pasem. Z głodu mi osłabną na nic — i znowu paru trzeba będzie zostawić. I jak na urągowisko mamy huk nabojów, a nie ma do kogo strzelać. Też położenie...

Omieciński, uczeń aptekarski, wrzasnął przez sen nieludzkim głosem, zerwał się na równe nogi i wystrzelił. Na to Sularczyk, czeladnik szewski, ocknął się, porwał za sztucer, wymierzył ku polanie i wypalił też. Za nim strzelił Frączek i jeszcze hrabski lokajczyk Antek Wasiak. Zrywał się jeden za drugim.

Ale paru spało dalej martwym snem, nie ruszywszy się nawet po strzałach. Echo przesuwało się po lesie i zamilkło.

Obłoczek dymu prochowego zawisł nizko nad polaną i stał w spokojnym, jasnym powietrzu, rozścielając się wązkim pasmem.

Pułkownik już się nawet nie gniewał za ten alarm. Nic nie rzekł Omiecińskiemu, który się przysięgał, że zupełnie nie „spał" i że widział najwyraźniej żołnierzy, wychodzących z lasu po tamtej stronie. Należało jednak brać nogi za pas, bo na wystrzały lada chwila mógł się zjawić nieprzyjacielski patrol, albo i większa siła.

Długo budzono, namawiano i straszono tych, którzy jeszcze pomimo całego gwałtu, spali jak zarżnięci. Rafalski już zupełnie nic nie rozumiał. Oganiał się, jak mógł, od szarpiących go kolegów, wierzgał nogami na wszystkie strony, wymyślał okropnymi wyrazami i kulił się do ziemi. Postawili go na nogach, natrzęśli go i wreszcie oprzytomniał. Najtrudniej szło z Lenkiewiczem. Zgadzał się na wszystko, wstawał, brał broń i ruszał z miejsca, ale zrobiwszy kilka kroków, zbaczał w zarośla, układał się cichaczem do spania i zasypiał natychmiast. Byłby już zginął, gdyby go nie pilnował młody Szymborski, który nie opuszczał go ani na krok i kopaniem zmuszał do wstawania. Lenkiewicz bowiem był to jego kolega i przyjaciel, a ponadto Lenkiewicz strzelał „gienjalnie", nigdy nie chybiał i zasiadłszy gdzie za drzewem, a mając nabojów poddostatkiem, starczył sam za dziesięciu strzelców.

Szymborski zaś był najpewniejszy, że jeszcze będzie bitwa, bo inaczej rozpłakałby się z rozpaczy i z tej hańby. Mozolił się tedy z przyjacielem i z tej irytacji bił go już naprawdę z całej siły.

Opóźniało to pochód, ale pułkownik już się o nic nie gniewał.

Jędrek od czasu do czasu niespokojnie patrzał na wachmistrza i gadał: „dobrze idziemy!" albo „teraz już wiem!"

— I cóż ty wiesz? — pytał Smyczyński.

— Tym lasem het będziem szli przed siebie pół godziny, może ze trzy kwadrance i będzie znów zachodzić ta sama rzeka Czarna (bo ona się tu ciągiem lasem przekręca). Za rzeką jest już zaraz granica.

Ale wachmistrz mu już nic nie wierzył. Czuł, że zbłądzili i że błądzą dalej. Darli się przez las według słońca — ale linja granicy jest kręta. Mogą iść wciąż wzdłuż kordonu aż do samej nocy i po nocy wlezą właśnie w najgorsze miejsce...

Pułkownik pytał Omiecińskiego głosem przyciszonym.

— Naprawdę widziałeś moskali?

— Żebym się tak z tego miejsca nie ruszył, żeby we mnie piorun strzelił, panie pułkowniku...

— Dobrze, dobrze... Piechota była?

Omieciński odpowiadał z wielkim przejęciem, głosem tajemniczym i jeszcze raz poprzysiągł, że to nie był sen, bo on ani oka nie zmrużył — a co to było? Niewiadomo. Jakaś straszna tajemnica, może fata morgana, albo jakie czary?

— Piechota była, panie pułkowniku. Szli we dwa rzędy, szeroko rozrzuceni w tyraljerkę.

— A jakie mieli kołnierze? Lampasy u kaszkietów jakie były? Widziałeś? Pamiętasz?

— Pamiętam. Na kaszkietach mieli czerwone, a na kołnierzach...

— Głupiś! Jeżeli na kaszkietach mieli czerwone, to i na kołnierzach. I nie całkiem czerwone, tylko ciemno karmazynowe.

— Skąd pan pułkownik to wie? Omieciński aż się przeraził.

— A oficer był z nimi? Oczywiście, że był, bo samopas sołdatów nie puszczają — idzie tylko o to, czyś ty go widział?

— Był i oficer. Młody, wielki moskal...

— Czy on nie był czasem czarny? Wąsy czarne? — pytał z niepokojem pułkownik.

— Jak Boga kocham, był czarny!

Pułkownik był głęboko przejęty tym, czego się dowiedział. Już teraz miał zupełną pewność spotkania się z przyjacielem. Bóg go ostrzegał, jak gdyby mu chciał powiedzieć: przygotuj się zawczasu!

I pułkownik był gotowy. Tylko przywarł mu do twarzy ten sam dziwny uśmiech. Szedł głęboko zamyślony, a w jego uśmiechu mieniały się ustawicznie skurcze: szyderstwa, rozkoszy, zgrozy i strachu. Pułkownik niezmiernie kocha przyjaciela.

. . . .

. . . .

Nareszcie coś się zaczęło wyjaśniać. Uczyniło się w lesie o wiele widniej, a po chwili po przez drzewa ukazał się szeroki świat. Smyczyński poszedł z Jędrkiem patrzyć, a reszta została w lesie. Nikt nawet nie siadał. Czekano z biciem serca na wiadomości, bo nadchodził wieczór.

Wachmistrz stanął na brzegu ogromnej, starej, zapuszczonej i już nieco porastającej poręby. Przez szkła zobaczył daleko, daleko dwa wiatraki, obracające leniwo skrzydłami na tle nieba.

Prowadząc lornetę po horyzoncie, znalazł jeszcze rząd topoli i białą murowaną dzwonnicę...

— Chłopak — co widzisz?

Ale Jędrek i bez szkieł dawno poznał okolicę i zatrząsł się ze strachu przed wachmistrzem. Poznał swoją wieś.

— Co to za wieś?

— Oj, niewiem, proszę łaski pana wachmistrza. To chyba jest jakaś wieś już po tamtej stronie!

— A w Namłotowie wiatrak jest?

— Wiatrak?

— Młyn jaki jest? Dokąd do mlewa wozicie?

— A jest we wsi wiatrak.

— Jeden?

— Dwa są wiatraki: jeden pański, drugi księży, ale proszę pana wachmistrza, wiatraki są też wszędzie...

Smyczyński wyraźnie usłyszał turkot wozu. Wóz szedł po twardej, ubitej drodze. Zaczęło hurkotać — jakby jechało dużo wozów, jeden za drugim.

— Co to może być za gościniec?

Wiedział Jędrek, co to za gościniec, wiedział, że w tym miejscu, od tej poręby idzie polna droga, która przecina gościniec i prowadzi znowu lasami aż do dawnej komory w Wilczy. Na skrzyżowaniu dróg stoi karczma, gdzie szynkuje główny szwarcownik na okolicę Gierszon. Możnaby tu zaczekać do wieczora, a Gierszon za pieniądze, albo i całkiem za darmo ze strachu, dałby człowieka, któryby wszystkich przeprowadził. Wszystko to Jędrek doskonale wiedział, ale bał się przyznać, że zbłądził, że kłamał, więc milczał i tylko wzdychał. Chciało mu się ludzi z tej biedy wybawić, ale przemógł strach, bo się nasłuchał, że powstańcy za byle co wieszają.

— Po coś łgał? Chciałeś nas zgubić? A skąd my mamy wiedzieć, że i teraz nie łżesz? Tak mu powiedzą i powieszą.

Postał Smyczyński, postał i wrócił do lasu. Kiedy doszedł, wszyscy patrzyli pilnie w głąb lasu i nasłuchiwali bacznie. Z po za nich z głębin lasu dochodził słaby, niemilknący szmer. Na tle tego szmeru to coś stuknęło głucho, jak kołkiem po pniu bukowym, to znowu doleciał jakby głos ludzki, to wydało się, że ktoś rozmawia, to jakby koń parsknął... Odgłosy te zdawały się dochodzić odrazu ze wszystkich stron.

Pułkownik był blady, jak trup. Panu Chądzyńskiemu zupełnie mimowoli układał się w głowie pewien dziwny wiersz, coś w rodzaju hexametru. Miał wrażenie, że słowa te wypływały same z głębin lasu. Lenkiewicz pilnie opatrywał broń. Szymborski miał p omienie w oczach...

Wpadła prawie na nich i o jakie dziesięć kroków przystanęła wilczyca z trojgiem małych. Stanęła cicho, jak widmo, błysnęła kłami i znikła bez szmeru. Co chwila bokami szmyrgały zające.

— Co? Obława? — szepnął pułkownik do wachmistrza.

Smyczyński ponuro kiwnął głową. Cicho, porozumiewając się tylko giestami, pułkownik wyprowadził ludzi na porębę. Jak okiem zajrzał, sterczały tu pnie. Bliżej lasu młode buczki puszczały się już bujnie, trzeba było brnąć przez ich gęstwę po kolana. Sypał się z pod nóg deszczem jasno-żółty liść. Dalej stały pojedyńcze kilkunastoletnie drzewa, nasienniki, a jeszcze dalej czerniały na porębie, jak złomy kamienia, luźne porozrzucane sągi i olbrzymie i już czarne stare kłody bukowe. Ku tym sągom i kłodom zmierzali, biegnąc. Ale zaledwo dopadli i pochowali się, jak który mógł, wystawiwszy broń ku lasowi, od prawej strony o jakie tysiąc kroków z pomiędzy pieńków i z poza takich samych półsążków, wyrosło nagle wśród ciszy wielkie mnóstwo rozproszonych ludzi. Uderzyły bębny i ciżba żołnierska rozlała się w obie strony w długi łańcuch. Szybko ogarnął łańcuch szeroką połać polany.

Trąby z pośpiechem wygrały sygnał i odrazu z kilkudziesięciu miejsc buchnęły dymy i grzechot wystrzałów uderzył w cichy las. Czerwone, zachodzące słońce oblało świat purpurą i złotem. Mienił się w słońcu cały ogromny, jak krwawe morze, las bukowy. Czerwono-złote stało się wszystko: i pnie i kłody i przebiegający między nimi żołnierze. Obłoki szarego, gęstego dymu szły pochyło ku górze i tam na wysokości uścielały się, różowiejąc...

. . . .

. . . .

. . . .

. . . .

. . . .

Już od godziny kule stukały głucho w kłodę bukową, za którą leżał pułkownik wraz z trzema towarzyszami. Gwizdały im i śpiewały śmiertelnie koło uszu, szły górą, grając, a najczęściej wlepiały się w kłodę, która odpowiadała posłusznie za każdym razem, jakgdyby liczyła wystrzały. Przelatujących kul niktby nie zliczył. Waliły do nich całe dwie roty, gdyż na polanie bitwa od dawna była już skończona. Wybici byli wszyscy co do nogi, ranni byli już dawno podobijani i obrabowani ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość dla sołdatów.

Już dwa razy kapitan dowodzący wstrzymywał ogień i krzyczał: „poddaj się!“ Bo, pominąwszy wszelki nonsens takiej walki we czterech przeciwko dwom rotom piechoty, a wreszcie i sotni kozaków, którzy stali opodal pod lasem, przyglądając się bezczynnie — kapitan zauważył, że w tym głupim spotkaniu padła już nieprawdopodobna ilość żołnierzy i ranieni byli trzej oficerowie. Dopiero kiedy mu żołnierz podał sztucer, leżący obok jednego z zabitych, kapitan zrozumiał.

Broń była najnowszego systemu, celna, dalekonośna, odtylcowa.

Odsunął tedy linję strzelców i prał z daleka w tych kilku pozostałych. Żołnierze celowali długo, jak na mustrze. Najlepsi strzelcy starali się i popisywali się jeden przez drugiego, ale potężna kłoda broniła zatraconych Polaków. Wybiegło wreszcie kilkunastu na ochotnika, wrzeszcząc „ura“, ale kiedy po drodze wywróciło się aż czterech, reszta przypadła do ziemi i usadowiwszy się za pniakami, zaczęli zbliska ostrzeliwać kłodę. Tu dopiero trafiony został Rykwita, który przez cały czas, jak maszyna nabijał broń i podawał Lenkiewiczowi, a ten ani razu nie chybiał. Teraz dopiero kula oberwała pułkownikowi część ucha. Dostał i Szymborski w sam środek czoła. (Cdn.).

Dr. JUDYM.

REFLEKSJE POSEJMOWE.

Cała Galicja, co więcej — cała Polska patrzyła z natężoną uwagą na tegoroczne obrady sejmowe. Miała się rozstrzygnąć sprawa pierwszorzędnego znaczenia, uchwalenie nowej ustawy wyborczej, rozszerzenie w duchu demokratycznym praw obywatelskich. Miano pokazać światu, że potrafimy zadość uczynić wymogom sprawiedliwości społecznej, że po raz pierwszy w dziejach porozbiorowych zdobędziemy się na przyznanie praw ludzkich człowiekowi, w Polsce urodzonemu, że to nie Niemiec ani Moskal, ale Polak wobec Polaka stanie się rozdawcą braterstwa, ukrócicielem przywileju, głosicielem wolności!

Wszakże każdy bezdomny człowiek polski, wywędrowawszy za chlebem do Stanów Zjednoczonych lub Brazylji, po pięciu latach pobytu na obcej ziemi zdobywa tam pełnię praw obywatelotrzymuje powszechny, równy, bezpośredni i tajny głos przy wyborach do wszystkich ciał reprezentacyjnych, uznanym jest za brata i przygarnionym do do równej pracy o wspólną przyszłość.

Przecież i my potrafimy dać swoim, co im dali obcy! Przecież legjonista polski pod rozkazam małego kaprala walczył kiedyś bohatersko o sprawę ideałów wolnościowych Wielkiej Rewolucji. Przecież manifest Rządu Narodowego podczas powstania styczniowego obwieścił wolność, równość i braterstwo wszystkim synom dawnej Polski, bez względu na stan, pochodzenie, wyznanie i przynależność plemienną. Przecież szczera myśl demokratyczna żyje niczym nieugaszona we wszystkich sercach najlepszych synów Ojczyzny...

Rezultat obrad sejmowych przyniósł gorżkie rozczarowanie. Samolubstwo Targowicy, kłamliwy frazes o rzekomej miłości narodu odniósł zwycięstwo na całej linji. Sejm galicyjski pokazał się niepoprawnym — i to już nie tylko w stosunku do polskiej myśli wolnościowej, ale nawet w stosunku do monarchji rakuzkiej. Dwanaście krajów austrjackich już tę sprawę załatwiło, prawa obywatelskie rozszerzyło, posunęło naprzód zwycięstwo idei demokratycznej. Sędziwy monarcha austryjacki zapytywał niedawno co się dzieje z reformą wyborczą w sejmie galicyjskim, objawiając przez to życzenie, aby była nareszcie uchwalona. Premjer gabinetu wiedeńskiego oświadczał gotowość przedłożenia nowej ustawy wyborczej, chciał być pośrednikiem...

Sejm galicyjski nie dał się, bo on rozważniejszy niż wszyscy na świecie. Galicja, jak zawsze, jak we wszystkim, musi być na szarym końcu. To jej przywilej, to jej wyższość... Ha! Bo my dbać musimy o „senatorską" powagę wielkiej rady powiatowej. Co nas obchodzi duch czasu, co nam wspólnego z nowożytnym rozwojem społeczeństwa... My autonomiści, nowinek wolnościowych nie uznajemy, my, naród pługa i miecza, z okresu palenia gorzałki i wypasania wołów na Podolu, wypieramy się własnych tradycji wolnościowych, stoimy wierni i bezwzględni na straży przywileju i niesprawiedliwości społecznej. To nasz zaszczyt, to nasze zadanie wobec demokratyzującej się Europy. Nazywaliśmy się niegdyś przedmurzem chrześcijaństwa, nazwiemy się teraz przedmurzem wstecznictwa. „A więc nasza, nasza góra! Niemasz w świecie nad Mazura!"...

Źle jest, że kraju naszego nie można odgrodzić murem niebosiężnym od reszty Europy. Tak nam u siebie dobrze, taka przesłodka sielanka, jak w epoce biblijnych patryjarchów. Pan wyprzedaje ojcowiznę, przegrywa pieniądze w kasynach końskich i zagranicznych jaskiniach, poczym chwyta po miastach synekury i roznosi dokoła trąd bankructwa moralnego. Zgłodniały chłop-analfabeta setkami tysięcy opuszcza strzechy domowe i szuka chleba na dalekiej tułaczce. Równie ciemny żyd, przykuty zabobonami do ghetta, wije się w nędzy przy skrawkach cebuli. Duchowny chrześcijański i cadyk cudotwórca głoszą z równym fanatyzmem, że to jest właśnie porządek, na uszczęśliwienie człowieka przez Boga ustanowiony. Ziemia źle uprawiona, rzeki nieuregulowane, rabunkowa gospodarka w ostatkach lasów, licha trzoda, skarlałe bydło, brak szkół, ogólna nędza mieszkańców, przemysł domowy na wysokości wysp polinezyjskich, — czyż to nie istny Eden i Eldorado, czy trzeba tutaj cokolwiek poprawić, czy raczej nie należy zmumifikować ową ziemię cudowną na przykład wiekuisty dla narodów ziemi? Aby do szczęścia niczego nie brakowało, waśń narodowa i nietolerancja wyznaniowa zabijają do reszty serca i umysły nędzarzy i tworzą z całości nieporównane środowisko, na którym wybrańcy losu rodzą się, godują, a po najdłuższym życiu idą do nieba.

Prawie przez dwa miesiące obradowały zebrane stany na tegorocznej sesji. Kto przypatrywał się pogodnym obliczom wybrańców narodu w izbie sejmowej, ten ani na chwilę nie może przypuszczać, żeby którykolwiek z nich pragnął jakiejkolwiek zmiany w opisanej właśnie doskonałej rzeczywistości żeby takiego właśnie stanu za dobry nie uważał.

Oto zadzwoniono na posiedzenie. Z bufetów i kuloarów posłowie spieszą do izby. Przypadkiem — nie można się pospolitować — zjawili się jacyś posłowie fjoletowi. U progu całują ich w ręce panowie jacyś czarni, w różnym wieku, podobno profesorowie uniwersytetu i wprowadzają uroczyście do sali. Na chwilę zamięszanie, — to inni posłowie cisną się do fjoletów z pokłonem i po błogosławieństwo. Wreszcie nastaje porządek. Marszałek stuknął długim kijem, poczym pogrążył się w półsenną zadumę, której nie przerywają senatorskie obrady. Niektórzy posłowie załatwiają na swoich miejscach korospondencje, odczytują dzienniki, podpisują dekrety urzędowe; inni w grupkach debatują półgłosem o pogodzie i środkach przeczyszczających; niektórzy z miną lowelasów zerkają ku damom na galerjach, każąc podziwiać swoje poselskie dostojeństwo; inni nareszcie, z dłoniami pod pachą, obijają się od ławki do ławki, nie wiedząc co zrobić ze sobą i ze swoją wpółotwartą gębą. Od czasu do czasu przemawia jakiś pan na prawicy. Wtedy zmienia się obraz. Posłowie śpieszą, aby słuchać opatrznościowej mądrości, a pan prawicowy mówi cicho, zwolna i rozwlekle, jakby swoje miałkie słowa obliczał na dukaty, a co najmniej na talary. Jeżeli zdarzy się przemawiać posłowi na lewicy mówi przeważnie do siebie i do stenografów, bo któżby raczył słuchać tego, co może bodaj z daleka zamącić senatorskie obrady. Obawy takie są jednak najzwyczajniej zgoła nieuzasadnione, boć nie wolno naruszać solidarności narodowej...

Przez dziesięć ostatnich posiedzeń obraz izby sejmowej stał się zupełnie odmienny. Posłowie narodu ruskiego zaprzepaścili na zawsze tradycję obrad senatorskich. Naród ten, w muzyce rozmiłowany, zarządził nieustającą orkiestrę, która miała być ilustracją do jednego z opisów Boskiej Komedji, według innych zaś niesamowitym marszem pogrzebowym na cześć śp. sejmu obszarniczego. Drugą sensacją tegorocznej sesji były karykatury p. Sichulskiego, z których, miną nadrabiając, śmieli się najlepiej skarykaturowani posłowie.

Po dwumiesięcznych obradach nie zostało nic.

Uchwalono budżet, o czym się opowiada, że w ten sposób nie zatamowano prawidłowej gospodarki krajowej. Sejm kurjalny miał wielkie słowa, a małe czyny. To, co się opowiada o budżecie, jest właśnie takim wielkim a pustym słowem.

Zaprzepaszczono dwie sprawy zasadnicze, dla których właściwie sejm był potrzebny. Uśmiercono obie w porządku, prawidłowo, z powagą senatorską, w zakamarkach gmachu sejmowego, a uczyniono to z miłości dla kraju i dla solidarności narodowej. Bo u nas największe oszustwa polityczne robi się z miłości dla kraju...

Pierwszą sprawę, budowę kanałów, raczył utrącić sam p. minister Biliński, który w tym celu umyślnie pofatygował się z Wiednia, uścisnął kilka dłoni, przeprowadził kilka konferencji, przyjął smaczny objadek, no — i pożegnał uspokojony uszczęśliwionych rodaków. Koło poselskie uchwaliło wprawdzie nieźle brzmiącą rezolucję, ale wiadomo z dawnych obyczajów, że to tylko musztarda po obiedzie. Nie wolno łączyć się z Europą — nawet kanałami. Mamy swoją wodę, nie potrzeba nam cudzej... Dla naszego przemysłu i tej wody za dużo...

Nową ustawę wyborczą odroczyła czyli utrąciła solidarność narodowa, a kozłem ofiarnym, na którego grzechy złożono, stali się Rusini. Dobrze to mieć na podorędziu wroga narodowego. Przy utrąceniu intrygantami pierwszej klasy pokazali się — jak zawsze — konserwatyści, a między nimi szczególnie odznaczyli się Podolacy, jako rycerze z pod najciemniejszej gwiazdy. Demokraci nie sprawili żadnej niespodzianki, popełnili — jak zawsze — wrodzone safandulstwo. Rolę gacka na wyborach odegrali swoim zwyczajem „narodowi demokraci", oni też starają się teraz ukuć z całej sprawy najzyskowniejszy kapitał, oni, jedyni przecież obrońcy dobra narodowego... Rusini nie wiedzieli, co czynią a przez swoje zachowanie się dopomogli do zwycięstwa reakcji. Godna kompanja. Z trzęsienia góry narodziła się zdechła mysz.

Po usłużnych dziennikach wydmuchuje się teraz drobiazgi formalistyczne do znaczenia zasadniczego i utrącenie reformy wyborczej obębnia się niemal jako ocalenie Ojczyzny. Godny sejm prasy, godna sejmu prasa.

I dobrze tak! Niech świat cały urządza się po ludzku, niech dźwiga naprzód światło i postęp. U nas najlepiej po staremu. Po omacku spać dobrze. A więc hulaj dusza bez kontusza, bo „jakoś to będzie"...

Dr. WŁADYSŁAW GUMPLOWICZ.

JAK BELGJA STAŁA SIĘ PAŃSTWEM.

II. Holandja miała konstytucję uchwaloną w 1814 r., nawiasem mówiąc, konstytucję dość reakcyjną, dającą królowi duże prawa a ludności prawa raczej ograniczone. Teraz, po wcieleniu Belgji, to znaczy po powiększeniu przestrzeni państwa w dwójnasób, a liczby mieszkańców z półtrzecia na sześć miljonów, oczywistą była konieczność dostosowania konstytucji do potrzeb nowych poddanych. Król w tym celu powołał komisję z jedynastu Holendrów i jedynastu Belgijczyków. Komisja ta, złożona z mężów zaufania króla, nie ludu, uchwaliła parlament dwuizbowy. Izbę wyższą mianował król. Izba niższa zaś, wybrana przez sejmiki poszczególnych ziem holenderskich i belgijskich, miała się składać z pięćdziesięciu pięciu Holendrów i również tylko pięćdziesięciu pięciu Belgijczyków. Pomimo więc, że Holendrów było tylko półtrzecia miljona, a Belgijczyków półczwarta miljona, czyli że ludność Belgji miała się do ludności Holandji, jak 7 : 5, jednak stosunek liczebny posłów obu krajów miał być, jak 1 : 1. Innymi słowy, głosy siedmiu Belgijczyków miały mieć tyle tylko znaczenia, co głosy pięciu Holendrów. A wystarczyło, żeby rząd przeciągnął na swoją stronę choćby trzech ugodowców belgijskich, aby przedstawicielstwo belgijskie całkowicie ubezwładnić. Nadto konstytucja ta wprawdzie gołosłownie obiecywała swobodę prasy, ale nie zniosła rozporządzenia wyjątkowego z kwietnia 1815 r., które autorom „buntowniczych" artykułów groziło barbarzyńskimi karami w rodzaju piętnowania rozpalonym żelazem. Nie przywróciła także Belgijczykom sądów przysięgłych, zniesionych rozporządzeniem wyjątkowym w czasie wojny. Nadto to właśnie, co stanowiło jedną z największych zalet tej konstytucji: równouprawnienie wyznań — to właśnie Belgijczyków, którzy w przeciwieństwie do protestanckich Holendrów byli nader gorliwymi katolikami, do krwi oburzało.

Sejm holenderski, zwołany po raz ostatni celem przyjęcia lub odrzucenia nowej konstytucji ogólnoniderlandzkiej, przyjął ją jednogłośnie. Natomiast zgromadzenie notablów belgijskich, zwołanysh przez króla do Brukseli celem obradowania nad tąże konstytucją, odrzuciło ją 796 głosami przeciw 527. Król, zamiast ukorzyć się przed wolą narodu, uciekł się do zuchwałego fałszerstwa. Na 1603 powołanych notablów, 280 nie przybyło wcale do Brukseli; król samowolnie zadekretował, że tych 280 abstencjonistów, ponieważ się nie sprzeciwili nowej konstytucji, należy zaliczyć w poczet jej zwolenników. Nadto 126 notablów, głosując przeciw projektowi, uzasadnilo wotum swe niezgodnością projektu z religją katolicką; król uznał uzasadnienie to za nielegalne, a zatem i głosy za nieważne. W ten sposób sfabrykowano sztuczną większość przychylną rządowi, i ogłoszono konstytucję za przyjętą. Na tym więc fałszu bezwstydnym miało się odtąd opierać współżycie Belgji z Holandją.

Ale i pod innymi względami najezdniczy charakter rządów bardzo wyraźnie dawał się do poznania. Nietylko ministerstwa, ale i wszelkie inne centralne instytucje państwowe umieszczono wyłącznie w miastach holenderskich. Nawet centralny zarząd kopalń znajdował się w Hadze, mimo. że Holandja, kraj nizin płaskich jak stół, nie posiadała i nie posiada żadnych kopalń ani kamieniołomów nawet, podczas gdy górzysta Belgja oddawna obfituje w bogate kopalnie węgla oraz żelaza. Co gorsza, ministrami i jenerałami byli prawie wyłącznie Holendrzy, a także ogromna większość niższych posad urzędni-

czych i oficerskich również była w rękach Holendrów. Całe ministerja, a taksamo korpusy oficerskie całych pułków były zamknięte dla Belgijczyków, i to nietylko dla Francuzów belgijskich, ale tak samo i dla Flamandów, mówiących przecież od przeszło tysiąca lat tymże językiem, co i Holendrzy.

Nawet tam, gdzie w zarządzeniach ich była częściowa słuszność, rozdymane szowinistyczną pychą władze holenderskie nie umiały zachować miary. Za czasów austryjackich oba języki krajowe, francuski i flamandzko-holenderski, były w Belgji dopuszczane jako języki urzędowe. „Oswobodziciele“ francuscy natomiast jedynym językiem urzędowym uczynili swoją francuską mowę. Dekret króla Wilhelma z r. 1814, przywracający językowi flamandzkiemu dawne jego prawa w Belgji, był więc naprawieniem krzywdy. Ale niedługo się rząd tym zadowolnił. Już w 1819 r. wydano nowy dekret, czyniący znajomość holenderskiego języka obowiązkową dla wszystkich urzędników publicznych, nawet w Walonji, to znaczy w południowej połaci Belgji, gdzie lud francuskim narzeczem mówi. Było to ciężkie upośledzenie ludu walońskiego. Inteligencja belgijska zaś, francuska lub sfrancuziała, niemniej boleśnie odczuwała dekret z 1822 r., mocą którego w całej Flamandji wszelkie dokumenty publiczne i akta rządowe miały być odtąd spisywane wyłącznie tylko po holendersku.

I w dziedzinie ekonomicznej jaskrawo się uwidoczniła właściwa istota „zjednoczenia“ obojga Niderlandów. Holenderski skarb państwowy był zadłużony aż do bankructwa; natomiast dług państwowy belgijski wynosił zaledwie jedną dwudziestą holenderskiego. Przez „zjednoczenie“ skarbów publicznych obu krajów dług państwowy, obarczający siłę podatkową Belgijczyków pomnożył się więc przynajmniej w dziesięćkroć. Niemniej dokuczliwą dla społeczeństwa belgijskiego okazała się polityka celna władców holenderskich. Belgja cieszyła się intensywnym rolnictwem i kwitnącym przemysłem; było więc, jeśli nie chwalebnym to zrozumiałym, że belgijscy wytwórcy domagali się podtrzymywania wysokich ceł ochronnych, do których przywykli. Natomiast w Holandji ówczesnej, wyczerpanej przez dziesięciolecia pełne straszliwych klęsk, rolnictwo się marnie przedstawiało, a przemysł był zrujnowany do szczętu; ostała się tylko żegluga i handel zamorski. Nie dziw, że Holendrzy byli fanatycznymi wolnohandlowcami. Polityka celna Niderlandów wahała się tedy początkowo między sprzecznymi dążnościami obu krajów; wkrótce jednak stanęła z całą bezwzględnością po stronie kraju panującego. Ustawa z 1821 r. część ceł na zagraniczne towary obniżyła do minimum, inne zniosła całkiem; jednocześnie zaś krajową produkcję rolniczą obciążono podatkiem od bicia bydła i podatkiem od mielenia mąki. Belgja doznała więc niedogodności wolnego handlu bez jego dobrodziejstw; otwarto szeroko wrota dla obcej konkurencji a jednocześnie podrożono chleb codzienny prostego ludu.

Przyczyn do niezadowolenia było więc dosyć. Ale Belgijczycy na razie, jeśli namiętnie zwalczali rząd, to jeszcze namiętniej kłócili się między sobą. Obok partji katolicko-klerykalnej wyłoniło się stronnictwo liberalne, wzorujące się na rewolucyjnej demokracji francuskiej. Podczas gdy klerykali potępiali równouprawnienie wyznań, to liberali pragnęli je utrwalić i pogłębić, dążyli do wypędzenia jezuitów z kraju oraz do zupełnego złamania świeckiej potęgi kleru. Zdawało się, że te dwa stronnictwa na zawsze dzielić będzie przepaść. A jednak stanął most nad tą przepaścią.

Były to czasy, kiedy we Francji działał ów wielki katolik-rewolucjonista, ksiądz Lamennais, który w imię ewangelji głosił zasady wolnościowe, ideje demokratyczne, a nawet komunizm — ten sam Lamennais, który tak głęboki wpływ wywarł na Mickiewicza i Worcella. Pod wpływem tegoż Lamennais wytworzył się i w Belgji kierunek „katolików liberalnych“, idealistów, którzy pełni szlachetnego entuzjazmu domagali się w imię religji już nie skrępowania prasy, ale przeciwnie, jaknajzupełniej nieograniczonej swobody dyskusji, twierdząc, że właśnie, niczym nie skrępowana dyskusja najlepiej wyświetli wieczystą prawdę ewangelji. Oczywista, że cały ten kierunek w gruncie rzeczy przedstawiał formację przejściową i wcale nie długotrwałą; niemniej ta przejściowa formacja spełniła posłannictwo nader doniosłe w przejściowym okresie. Ci bowiem liberalni katolicy belgijscy, stanąwszy na czele katolickiego stronnictwa, przez zawarcie sojuszu z liberałami dokonali zespolenia wszystkich sił opozycyjnych w kraju. Z programu liberalnego przejęli swobodę prasy i swobodę wyznań; z dotychczasowego programu katolickiej partji zaś przejęli, nie przymus oddawania dzieci do katolickich szkół wyznaniowych, ale swobodę posyłania dziatwy do takich szkół wbrew rządowi, który, z pobudek protestancko-klerykalnych raczej niż wolnomyślnych, prześladował szkolnictwo katolickie. Tak więc w 1828 r. zawarta została „unja“ obu partji belgijskich celem wspólnego zwalczania najazdu pod wspólnym hasłem „swobody we wszystkim i dla wszystkich“.

„Unja belgijska“, zaczepiając system rządowy w najsłabszym jego punkcie, puściła w obieg petycje przeciw podatkowi od bicia bydła. Kiedy król, uparty i zarozumiały, nazwał podpisywanie tych petycji „łajdactwem“, założono „Zakon Łajdaków“, oznaką którego był medal z napisem „wierni aż do łajdactwa“, a petycje otrzymały 360.000 podpisów, czyli, że podpisała je większość dorosłych mężczyzn w Belgji. Jednocześnie wszczęła się w prasie zażarta walka przeciw płatnym pismakom króla i przeciw samemu królowi, który, coraz bardziej tracąc głowę z rozgoryczenia w grudniu 1829. wygłosił mowę mocno trącącą absolutyzmem. W odpowiedzi na tę mowę jeden z wodzów Unji, liberalny republikanin Ludwik de Potter*) w liście otwartym do króla stwierdził, że król mową tą złamał konstytucję a zatem i Belgijczyków zwolnił od wszelkich względem niego zobowiązań, Albowiem konstytucja była umową między królem a ludem belgijskim; skoro król zerwał umowę, to lud odzyskał prawo do niepodległości. Wkrotce potym król sześciu urzędników, którzy jako posłowie do parlamentu głosowali z opozycją, za karę pozbawił urzędu. Wtedy de Potter wezwał do składek na dar narodowy dla tych ofiar samowoli królewskiej; zato został skazany na osiem lat wygnania. Te i podobne „legalne“ gwałty coraz bardziej jątrzyły niezadowolenie. Stało się ono tak groźnym, że przestraszony król zaczął się cofać i robić ustępstwa. Ale było zapóźno; nikt już w Belgji na te ustępstwa nie zważał.

(D. n.)

*) Słówko „de“ przed nazwiskami holenderskimi i flamandzkimi niema nic wspólnego z francuzkim „de“ (znaczającym szlachectwo Jestto raczej taki sam zaimek wskazujący, jak niemieckie „der“ albo polskie „ten“. Jan de Witt znaczy dosłownie „Jan, ten biały“, Louis de Potter znaczy „Ludwik, ten garncarz“ itd. Nie brakło zresztą wśród opozycji belgijskiej i rzeczywistej szlachty, jak np. wicehrahia Vilain-Quatorze, wybitny zwolennik Lamennais'a albo baron Surlet de Chokier, późniejszy przewodniczący zgromadzenia narodowego.

SAMORZĄD MIEJSKI W KRÓLESTWIE.

II.

Samorząd miejski w Królestwie Polskim ma być reformą trwałą, nieulegającą dalszym zmianom przez długie lata. Tak przynajmniej zapowiedział Stołypin, otwierając zgromadzenie zarządu głównego do spraw gospodarki miejskiej następującymi słowy: „ministerjum spraw wewnętrznych.... pragnęło zaprowadzić odrazu taki ostateczny samorząd, który nie podlegałby dalszej ewolucji w zależności od zamierzonych zmian w ustawie miejskiej w rdzennej Rosji“. Jest to zatym ze stanowiska dzisiejszego gabinetu reforma tak doskonała, tak daleko idaca, że bez względu na to, jakie zmiany poczynione zostaną w odpowiednich statutach dla Rosji, ustawa samorządna dla Królestwa pozostanie nadal taką samą.

Jak tedy przedstawia się doskonałość ustawy miejskiej, wedle projektu rządowego?

Przedewszystkim atrybucje rad i zarządów miejskich. Określał je tytuł I. projektu rządowego *) Nie różnią się one wiele od działalności dzisiejszych magistratów urzędniczo-rosyjskich. Wszystkie dotychczasowe agiendy administracji miejskiej pozostały bez zmian, a więc przedewszystkim dotyczą gospodarzenia miastem, w najtrywialniejszym tego słowa znaczeniu. W projekcie pierwotnym w artykule IV. były wyszczególnione punkty, dotyczące kompetencji samorządu w sprawach szkolnictwa miejskiego. Pod nagłówkiem „opieka nad szkolnicrwem“ wymieniał projekt pierwotny cały szereg zadań, jakto: udział w zaprowadzeniu powszechnego nauczania, prawo zakładania szkół ogólno-kszłacących i specjalnych kursów oraz wykładów, udział w zarządzie szkół miejskich, opiekę nad uczącymi się, wreszcie zajmowanie się oświatą pozaszkolną (organizacja odczytów, bibljotek i t. d.) W projekcie zaś ostatecznym, omawianym, cały ten paragraf ujęty został w lakoniczny punkt IX. który brzmi następująco: do zakresu samorządu miejskiego należy opieka nad rozwojem środków oświaty publicznej, oraz udział w zarządzie szkół, zgodnie z istniejącymi przepisami prawa. Kto zna „istniejące przepisy prawa“ rosyjskiego, szczególniej dotyczące szkolnictwa w Królestwie Polskim, wziąwszy dalej pod uwagę ogólny charakter ustawy samorządu i wybitny wpływ administracji rosyjskiej na bieg spraw i na treść uchwał rad miejskich, temu odrazu unaoczni się nieprzerwany łańcuch konfliktów, nieporozumień, skarg i ciągłych kasacji uchwał rad miejskich przez gubernjalne urzędy i przez gubernatorów. W tych warunkach, przy spotęgowaniu władzy warszawskiego gienerał-gubernatora, oraz przy dzisiejszym kierunku polityki oświatowej rosyjskiej, wpływ samorządnych rad miejskich na bieg szkolnictwa będzie żadnym; zapowiedziana zaś przez NDc-ję polska polityka oświatowa, jak zresztą należało przewidzieć, będzie fikcją. W najważniejszej zatym gałęzi administracji miejskiej, powiemy w jedynej, która rzeczywiście mogłaby mieć znaczenie ogólno-narodowe i wartość pewnej zdobyczy politycznej, projekt rządowy wszystkie „korzyści i dobrodziejstwa“ sprowadził do zera.

Znamienną cechą samorządu „polskiego“ jest jest to, iż wyłącznym prawie językiem urzędowania będzie język rosyjski. Tak się realnie przejawia połączenie pomysłu „polskiego samorządu“ z zasadą podległości państwowej (absolutystycznej)idei rosyjskiej. Artykuł VIII. (tyt. I.) opiewa bowiem, że język rosyjski wyłącznie jest używany w korespondencji z osobami i instytucjami urzędowymi, z obowiązkiem dołączenia rosyjskich przekładów rozmaitych załączników. Na wszystkie zapytania piśmienne i ustne zadawane po rosyjsku, winną być dawana odpowiedź po rosyjsku. W biurowości wewnętrznej zarządów miejskich, wszelkie protokoły, księgi, dokumenty oraz inne papiery winny być prowadzone w języku rosyjskim. Dozwolono jest jeno współrzędnie używanie języka polskiego, z zastrzeżeniem by tekst polski podawanym był równorzędnie z tekstem rosyjskim. Wszelkie kwestje sporne rozstrzygane będą według brzmienia tekstów rosyjskich. Stosowanie tego przywileju dla języka polskiego częstokroć w praktyce będzie zupełnie niemożliwym, pozatem będzie hamulcem w wewnętrznej biurowości instytucji samorządnych.

We wszystkich sprawach ostatecznie decydować będzie gubernator, względnie urząd gubernialny do spraw gospodarki miejskiej. Urzędy takie składają się (art. 11. tyt. II) z vice-gubernatora, zarządzającego izbą skarbową, prokuratora sądu okręgowego, przewodniczącego rady miejskiej miasta gubernjalnego, prezydenta miasta, jednego z radnych miasta gubernjalnego (obranego). Przewodniczy gubernator; dla miasta Warszawy przewodniczy pomocnik warszawskiego gienerał-gubernatora do spraw cywilnych, w składzie zaś zamiast vice-gubernatora zasiada naczelnik kancelarji warszawskiego gienerał-gubernatora. Urzędy gubernjalne baczą, by rady nie wychodziły poza granice swych ściśle przez prawo określonych atrybucji i wogóle rozpatrują wszystkie prawie uchwały rad miejskich. Decydujący głos ma przewodniczący — gubernator; jeżeli nie zgadza się on z uchwałą urzędu gubernjalnego, wówczas wstrzymuje wykonanie tejże (Art 16) i przedstawia sprawę ministrowi spraw wewnętrznych. Radom miejskim przysługuje tylko prawo zaskarżenia decyzji urzędów gubernjalnych do senatu w ciągu trzech miesięcy, od dnia orzeczenia urzędu.

Bardzo ważnym jest przyznania gubernatorom prawa bezpośredniego wypełniania na koszt miasta niezbędnych potrzeb, w tych wypadkach kiedy miasto uchyla się od zaspokojenia tych potrzeb. Do takich „potrzeb“ miejskich należą zapomogi na budowę więzień, cerkwi, czarnosecinnych przytułków, lub też utrzymywanie nacjonalistycznych organizacji rosyjskich, kupno obrazów świętych dla pułków kwaterujących w tych miastach i t. d. Kiedy w tych wszystkich wypadkach rada miejska odmówi asygnowania pieniędzy, gubernator załatwi te sprawy bezpośrednio, „samorządna“ zaś rada miejska koszta później pokryć będzie zmuszoną.

„Doskonałość“ projektu bardzo wyraźnie uwydatnia tytuł III ustawy, omawiający formy wyborcze. Wedle art. 20., z prawa obierania radnych korzystają osoby płci męskiej, które ukończyły 25 lat, posiadające w granicach miasta nieruchomości, z których ściągane są pobory na rzecz kasy miejskiej), zajmujące od roku conajmniej mieszkanie, którego wysokość czynszu dla klasyfikacji państwowego podatku mieszkaniowego wynosi w miastach z ludnością powyżej 700 tysięcy, ponad 360 rubli rocznie, powyżej 250 tysięcy ludności — 180 rubli rocznie, powyżej 50 tysięcy — 140 rubli, powyżej 20 tysięcy — 90 rubli, powyżej 10 tysięcy — 72 rubli, w pozostałych zaś miejscowościach nie mniej 60 rb. rocznie. Projekt zatym rządowy nadaje prawo wyborcze przedewszystkim właścicielom nieruchomości, pozatym ludziom średnio zamożnym. Stołypi-

*) Gorodowe położenje dla gorodow gubernij Carstwa Polskago. Projekt. S. Pieterburg.

nowi szło o usunięcie od wyborów tysięcy robotników i pracowników zamieszkujących miasta, pozatym o wprowadzenie do rad miejskich żywiołu bardziej dla rządu rosyjskiego bezpiecznego — mieszczaństwa. Że w stosunku do szerokich warstw pracujących ten czynnik odgrywał wybitną rolę, świadczy chociażby to, iż największy ośrodek robotniczy w Królestwie — Łódź, licząca mniej aniżeli 700 tysięcy mieszkańców (przeszło 400 tysięcy), początkowo wedle projektu rządowego zaliczaną była do II klasy miast, o najmiejszej opłacie mieszkaniowej 180 rubli rocznie. W Łodzi 180 rubli rocznego czynszu opłaca bardzo dużo robotników fabrycznych, rzemieślników i tkaczów wyrobnych oraz niższych pracowników bankowych i biurowych. Główny tedy zarząd dla spraw gospodarki miejskiej zmienił ten punkt art. 20, zaliczając Łódź do tej samej klasy co i Warszawę, to znaczy, iż najniższa roczna opłata mieszkaniowa, dająca prawo głosowania wynosi dla Łodzi 360 rubli, tyleż co i dla miljonowego prawie miasta stołecznego Warszawy.

Prawo wyborcze nietylko że nie jest powszechnym, ale wprowadza jeszcze i podział wyborców na kurje narodowościowe. Art. 26. opiewa, że wyborcy dla dokonania wyborów radnych, dzielą się na trzy kurje: 1) rosyjską, 2) żydowską, 3) pozostałą (to jest polską). Kto ma należeć do kurji rosyjskiej decyduje warszawski gienerał-gubernator, przyczym orzeczenia jego są bezapelacyjne. Jakie będą te orzeczenia przewidzieć łatwo. Przedsmak takiego oficjalnego określenia narodowości, dają aneksy do rządowego projektu samorządu, dotyczące zaludnienia miast Królestwa Polskiego. W Łodzi np., według danych aneksów było w dn. 1. stycznia 1908 roku —341.416 mieszkańców, z czego 9241 prawosławnych, 88.992 luteran. 2.346 protestantów, 79.785 żydów i 163.398 „innych“ (to znaczy katolików łącznie z marjawitami). Przy podziale na kurje, aneksy wykazują 98.233 osoby pochodzenia rosyjskiego, łącząc wszystkich luteran z prawosławnymi. W Lublinie n. p. naliczono 3931 prawosławnych a 5161 pochodzenia rosyjskiego. Ta urzędowa statystyka bardziej jeszcze na swoim właściwym wyrazie zyskuje, kiedy widzimy, że według art. 28 liczba radnych każdej kurji określoną jest na podstawie stosunku liczebnego wyborców kurji rosyjskiej i polskiej. Że zaś przy rządowej klasyfikacji narodowościowej rosyjskie kurje wyborców będą stosunkowo bardzo liczne, ponieważ Rosjanie, zamieszkujący miasta Królestwa Polskiego, są to ludzie bardziej zamożni (urzędnicy przeważnie) przeto w ten sposób projekt rządowy sztucznie wzmacnia żywioł rosyjski w miastach i radach miejskich.

Potęgując zaś znaczenie żywiołu rosyjskiego w miastach w sposób niesłychany, albowiem jak wynika z końcowego brzmienia art. 28. jeżeli w jakimkolwiekbądź mieście znajdzie się conajmniej 5 wyborców rosyjskich mają oni prawo do obioru radnego Rosjanina, jednocześnie ogranicza projekt rządowy ludność wyznania żydowskiego w korzystaniu z „dobrodziejstw“ samorządu. Według tegoż art. 28, w miastach w których liczba ludności żydowskiej wynosi więcej niż 50 procent ogólnej liczby ludności, ma ona prawo wybierać tylko 20 prc. ogólnej liczby radnych; gdzie zaś odsetek ten jest mniejszym — jeno 10 proc. Znaczenie tego ograniczenia uwidocznia najlepiej garść danych cyfrowych wedle których na 116 miast w Królestwie Polskim w 66 żydzi stanowią przeszło 50 procent ludności, w 8 prc. odset. wynosi 50 prc. zaś w 17 waha się od 40 do 50 procent. W Lublinie, Siedlcach i Suwałkach odsetek ludności żydowskiej równa się lub nawet przewyższa 50 procent. Na tle więc sztucznego zwiększenia wpływów żywiołu rosyjskiego tym charakterystyczniejszymi wydać się muszą ograniczenia praw miljonowej przeszło ludności żydowskiej, zamieszkałej w miastach i miasteczkach Królestwa Polskiego.

Nie będziemy bliżej rozpatrywać długiego szeregu zestawień i omówień ograniczających niepomiernie atrybucje i samodzielność rad miejskich i ich organów wykonawczych. Zwrócimy jeszcze uwagę na najważniejsze, aby bardziej uwydatnić istotną nikłą wartość stołypinowskiej reformy. A więc wedle artykułu 177, przysługuje rządowi prawo zawieszenia samorządu, zamiany administracji samorządnej miejskiej, na administrację państwową, na przeciąg lat trzech. Nie wystarczało więc rządowi rosyjskiemi. iż wszelkie wogóle instrukcje dla organów wykonawczych rad miejskich zatwierdzać będzie gubernator, że ponadto posiadać on będzie prawo zawieszenia wykonania uchwał nietylko z powodu ich nielegalności (Art. 82) lecz w wypadkach nawet „gdy nie będą odpowiadały w ogólności zadaniom państwowym.“ Rząd rosyjski już z góry przygotowuje sobie carte blanche dla rozpędzenia obieralnych rad miejskich.

Do szeregu politycznych oszustw rządu rosyjskiego w Królestwie Polskim, przybyć ma nowe — „polski samorząd podległy jedynie rosyjskiej idei państwowej“, nowa Stołypinowska reforma.



WŁ. .

POKŁOSIE SEJMOWE.

Sejmowi, który niebezpiecznie był zachorzał na obstrukcję w rodzaju chronicznych, dopomógł w ubiegły piątek cesarski namiestnik na mocy najwyższego upoważnienia „gorzką wodą Franciszka Józefa“ rozwalniając zatwardziałą sesję. Jakoż pośliska nasze pobrawszy z kancelarji sejmowej resztki ciężko wygranych i wysłuchanych djet, popakowały manatki i z lekkim sercem, by nie wspominać o innych zagrożonych częściach ciała, pojechały w świat... w „lud“...

Na pobojowisku pustej sali pozostał tylko z szyderczo wybitymi zębami pult posła Starucha, jedyny widoczny znak burzy, jaka nad folwarkiem szlacheckim przeszła — zresztą cisza i piwniczny mrok. Wytężywszy wzrok, dostrzegłbyś może nieco bardziej zdziwione rysy twarzy Solona, który niewiadomo po co w tej sali na ścianie wisiał przez lat tyle — i dopiero w sesji ostatniej grymas rozziewanej nudy skrzywił w baczną ciekawość...

Posłowie pojechali więc w lud.

A jako że w „lud" teraz nie można jechać z próżnymi rękoma, o czym wiedzą dobrze i ci, którzy „unikają kontaktu z ulicą", jako nieodpowiedzialnym w polityce czynnikiem — więc wybrańcy ostatniego(?) kurjalnego sejmu wpakowali do waliz podróżnych cukierki i pierniki dla pt. wyborców i opinji publicznej. W rozgardjaszu panującym przy zamknięciu sesji, nie każdy widział, co obok druków sejmowej bibuły budżetowej, instrumentów czy waty wkłada do walizy. — Teraz dopiero w poszczególnych sklepikach codziennie ujrzeć można wystawione zdobycze „sejmowych prac" naszych z żandarmami lub bez żandarmów wybranych przedstawicieli...

Nie usłuchali rozwolnieni posłowie apelu marszałka, z którym się do nich na odjezdnym zwrócił: „niech nie będzie między nami ani zwycięzców, ani zwyciężonych". To było dla naszych, przy pomocy kiełbasy i solidarności narodowej wybranych zastępców, za mdłe, za „mądre"... I oto ogłosili się wszyscy zwycięzcami.

Ostatnie dni „debat" sejmowych i uchwalona rezolucja w sprawie reformy (!) wyborczej jest tak wdzięcznym tłem dla snucia kombinacji autohypnotyzujących, że „zwycięzcom" naszym nie można (i nie trzeba...) się dziwić. Jedni nie rozróżniają już po zerwaniu nerwów słuchowych kakofonją obstrukcyjną, fałszywego stroju swych surm tryumfalnych — drudzy żyją przecież z tego, że ze starymi rozklekotanymi katarynami obchodzą podwórza narodowe, przyczym białe tresowane myszy i papugi redakcyjne wyciągają narodowi... losy. Byle handel szedł.

Wejdźmyż na chwilę do tego panopticum zwycięztw sejmowych...

Więc zwyciężyła solidarność narodowa. Co to jest solidarność narodowa, tego rozbierać i dociekać nie można. Przy każdych wyborach, podczas każdego przesilenia ministerjalnego w Wiedniu, przy każdym strajku, rozruchach, demonstracjach, w każdym wypadku zawikłań dyplomatycznych, przy każdym podatku nowym, każdej mowie tronowej (każdego z trzech naszych monarchów) i t. d. i t. d. solidarność narodowa nasiąka inną treścią, zmienia się za każdym powiewem wiatru, z każdym stopniem ciepłoty, z każdym stopniem szerokości gieograficznej...

Zwyciężyła solidarność narodowa w ostatniej sesji:

a) zdaniem prawicy, bo zjednoczyła wszystkie stronnictwa polskie w odparciu ataków teroru na sejm, który od 50 lat itd. itd. (czytaj: bo lewicę i ludowców odciągnęła od niebezpiecznego sojuszu z Rusinami, a reformę wyborczą odsunęła ad calendas „podolenses").

b) zdaniem lewicy, bo zjednoczyła itd. (czytaj: α) u demokratów narodowych: pokazało się Rusinom kułak i doprowadziło ich do ostatniej pasji, co jest jedyną rękojmią, że endecja będzie miała jeszcze jakiś czas pole do roboty, zaś demokratom innym, konkurencyjnym odebrała pozór zrobienia czegoś dla reformy wyborczej — β) u demokratów „porządnych" nie czytaj nic, bo oni sami nie wiedzą, co z nimi robiono a jadąc po równi „obstrukcja przez zatamowanie budżetu" — „obstrukcja w środku budżetu przed ustawą finansową" — „żadna obstrukcja tylko wiara na słowo stańczykom" — byliby zajechali pod wpływem dalszych dźwięków gągu w to miejsce podwórza pt. obszarników, gdzie żadne rogi nawet przyprawiane nie byłyby im już pomogły...)

c) zdaniem ludowców z pod znaku pana Stapińskiego, bo... (dała sposobność wysłużenia się pt. starszym braciom rolnikom, których miny na widok umizgów ludowców do reformy wyborczej poczęły się srożyć...)

Zwyciężyła i idea praworządności i powagi ciała ustawodawczego, gdyż mimo hałasów garstki obstruujących radykałów, sejm powziął cały szereg pierwszorzędnych ustaw, załatwił budżet krajowy i wogóle funkcjonował prawidłowo (czytaj: takiego Kulparkowa nie było jeszcze w żadnym parlamencie na świecie. Uchwały „powzięto" przez szwedzką gimnastykę nie mających zielonego (agrarjusze) wyobrażenia o przedmiocie obrad „posłów", budżet „przyjęty" w takich warunkach stanowiłby najczarniejszą kartę najobskurniejszego „parlamentu" najbardziej murzyńskiego plemienia.)

Zwycięska była powaga sejmu, który nie dał sobie wskazywać dróg przez garstkę terorystycznych radykałów ukraińskich, ale prowadził obrady w myśl programu większości. Dalismy dowód, że terorem nic u nas wymusić nie można, ale też i dowód, że wyciągniętej ku nam ręki do zgody nie odtrącamy, gotowi w każdej chwili do wejścia na drogę układów i rozumnych ustępstw. (Czytaj: Ukraińcy zagrali „nie będzie nic wprzód przed reformą wyborczą" i posiedzenia przerwano, nawiązując co prędzej rokowania z muzykantami. Ukraińcy zagrali „takiej rezolucji w sprawie reformy nie przyjmiemy" i do rezolucji dodano rodzynek pojednawczy, Ukraińcy zagrali „nie będzie innych spraw na porządku oprócz reformy" i nie było żadnych innych spraw z wyjątkiem reformy.)

I wreszcie zwycięski był protest ujarzmionego narodu ruskiego. Polska większość musiała niedwuznacznie ustępować piędź po piędzi z zaborczego wobec Rusinów stanowiska, przekonała się, że żądań ruskich lekceważyć nie można i nie wolno, nie ta większość i marszałek rządziła biegiem spraw sejmowych, ale garstka zdecydowanych na wszystko w walce o prawa swego narodu posłów. I reforma wyborcza może zawdzięczać tylko obstrukcjonistom swój przyszły żywot. (Czytaj: polska większość przeprowadziła tak czy owak rozmaite uchwały a przedewszystkim budżet, którego sankcja przy obecnej „konstelacji politycznej" we Wiedniu nie ulega kwestji. Czułe perskie oko robione do rządu centralnego zostało ze strony tegoż rządu zasypane perskim proszkiem a namiestnik Bobrzyński na spółkę z polską większością ratował „powagę sejmu". Co zaś do reformy wyborczej zgodzono się „na tle" zasad kompromisowych polskich rozpatrzyć żądania ruskie, co mniej więcej tyle znaczy, co jechać ze Lwowa do Czerniowiec w stronę Wiednia, patrzyć się na słońce o 12 w nocy albo w lutym zbierać fiołki. Jak to zadanie rozumie referent Głąbiński, świadczy o tem wymowny głos „Słowa polsk."...)

Doczepićby należało do tych tryumfalnych hymnów jeszcze głosy „russsssskawo kłuba" i russkiej narodnej organizacji, które z sytuacji wyłapują tylko dla siebie zwycięstwo t. j. kopnięcie od ukraińców i lekceważenie ze strony polskiej.

I tak jak widzimy znalazł się uniwersalny eliksir na wszystkie boleści wszystkich stronnictw obu narodowości.

Ach, jeszcze drobnostka jedna, o której bylibyśmy zapomnieli.

A reforma wyborcza?

„Zwycięska była jej idea" orzekł marszałek przy zamknięciu sesji.

T. zn. reforma wyborcza, o którą wszystkie stronnictwa „walczyły" znajduje się w... komisji w której ma p. Głąbiński wygotować jej projekt, na

„najbliższą sesję“ zwołać się mającą „o ile możności“ bezzwłocznie po wypracowaniu przez tegoż referenta zajętego od rana do nocy, w nocy i od nocy do rana w... parlamencie.

A zasady tej „reformy“?

Całe szczęście, że Rusini w czas przestali grać. Bylibyśmy otrzymali jako owoc kompromisu skonsolidowanej pod naporem teroru większości „reformę„ jakiej świat, korona polska i gulden austryjacki jeszcze nie widziały



Z TYGODNIA.

JUBILEUSZ LIMANOWSKIEGO. Kraków był w dniu 20. listopada widownią wielkiego hołdu, złożonego Bolesławowi Limanowskiemu, sędziwemu weteranowi myśli rewo ucyjnej polskiej, przez polskie organizacje socjalistyczne z trzech zaborów, przez socjalizm ukraiński, przez Międzynarodówkę robotniczą i przez młodzież postępową i socjalistyczną. Pominąwszy garstkę znieprawionych „luksemburczyków“ i ich przyjaciół, cały obóz robotniczy polski pochylił czoło przed tym przedstawicielem pokolenia, które stoczyło walkę o niepodległość, przed myślicielem, który po raz pierwszy związał sprawę społecznego wyzwolenia proletarjatu ze sprawą wyjarzmienia ojczyzny. W manifestacji wzięła udział, prócz prasy socjalistycznej, cała prasa radykalna: więc obok „Prze-świtu“, „Naprzodu“, „Głosu“, „Prawa ludu“, „Latarni“, — „Krytyka“, „Życie“, „Kurjer lwowski“, „Wiek nowy“, „Kurjer poranny“, „Kurjer lubelski“ i t. d. „Słowo Polskie“, acz spóźnione, zamieściło artykuł o życiu i zasługach wielkiego patryjoty.

We Lwowie utworzył się Komitet obywatelski, celem urządzenia uroczystego obchodu. W skład komitetu weszli, obok członków stronnictwa, do którego należy Limanowski, liczni przedstawiciele organizacji i pism postępowych i demokratycznych i przedstawiciele nauki polskiej. Obchód ma się odbyć w niedzielę dnia 4. grudnia w sali Filharmonii; spodziewane jest przybycie czcigodnego jubilata. Jeśli obchód krakowski był świętem socjalizmu polskiego, to obchód lwowski zapowiada się jako święto wszystkich postępowych i patryjotycznych żywiołów naszego społeczeństwa Limanowski jest chlubą polskiego socjalizmu, lecz jest zarazem jedną z najbardziej przodujących postaci w dziejach myśli patryjotycznej w Polsce. Spodziewać się należy, że odczuje to miasto. które w opowiedzianych przez Limanowskiego dziejach demokracji ma swoją świetną kartę.

ZGON TOŁSTOJA. Zgasł największy z duchów współczesnej Rosji, sędziwy prorok z Jasnej Polany. Ostatnie swoje dni uczynił protestem przeciw temu społeczeństwu, które poprowadzić chciał drogą ofiary i samozatracenia. Wyklęty syn cerkwi prawosławnej podyktował dla siebie pogrzeb, przypominający wieki prastare. Młodzi czciciele jego nauki, jak zwykle nierozumiejący mistrza, wszczęli rozruchy domagając się za wielkiego buntownika przeciw cerkwi prawosławnej — modlitw po cerkwiach... Policja rozganiała tłumy, śpiewające pieśni żałobne...

Pamięci Lwa Tołstoja należy się u nas osobna karta. W następnym zeszycie pomieścimy rzecz, poświęconą temu potężnemu rządcy dusz w narodzie rosyjskim.

REFORMA WYBORCZA DO GMINY W NOWEJ KONSTELACJI. (Ełka) Z subkomitetu i komisji nowela do dotychczasowej ustawy wyborczej dostała się w ubiegły poniedziałek na pełne posiedzenie rady miasta. Kluby zblokowane, złożone z Koła mieszczańskiego, narodowej demokracji i demokratów z pod znaku barona Battaglii, zatrzymują 95 mandatów z kurji dotychczasowej, z możnością osobistego wykonywania prawa wyborczego przez kobiety, ofiarowują zaś dzisiaj nieuprawnionym 5 mandatów z tak zwanej kurji powszecnej, która oprócz nazwy niewiele ma z powszecnością wspólnego. Wymaga bowie 3-letniego osiedlenia, umiejętności czytania i pisania (stolica kraju nie wstydzi się swojego analfabetyzmu!), dla kobiet zaś ukończonej szkoły średniej. Zarówno ze względu na ograniczenie powszechności, jak i na znikomą szczupłą liczbę ofiarowywanych mandnatów, pomysł zblokowanej reakcji należy nazwać wysoce niefortunnym. Nie można także uważać za okoliczność dodatnią, że w kurji uprzywilejowanej odmawia się kobietom biernego prawa wyborczego, gdyż kilka mandatów, jakie ewentualnie kobiety mogłyby zdobyć drogą wymiany kandydatur, nie przestrasza najzaciętszych nawet przeciwników ruchu kobiecego. Proponowana nowela ma tedy zarysy karykaturalne Tak też określił ją Klub reformy w dyskusji poniedziałkowej i zajął wobec poronionego projektu stanowisko opozycyjne. Jeden z mowców Klubu (Dr. Lilien) trafnie się o nim wyraził: „Matką projektu było Koło mieszczańskie, — a ojców miał kilku, dlatego urodził się potworek. Na serjo nie daje się żadnego mandatu dzisiaj wydziedziczonym. Udawać, że się daje, i kpić z tego, któremu nic się dać nie chce, — to rzecz niegodna reprezentacji.“

Dyskusja poniedziałkowa miała momenty bardzo charakterystyczne. Jedynymi mowcami w kwestji zasadniczej byli członkowie lub sympatycy Klubu reformy (pp. Laskownicki, Śliwiński, Pawlewski, Lilien, Janik); blokowcy wypowiedzieli się tylko przez usta p. Ohlego. Narodowi demokraci zachowali grobowe milczenie. Czy nie mieli nic do powiedzenia, czy zatracili myśl zdecydowaną i stali się kulą bilardową, stojącą do użytku każdgo gracza, który ma w ręku kij bilardowy? Sądząc po występach tej patrji, ostatnio podczas debaty sejmowej, trzeba się podono zgodzić na drugie przypuszczenie. A może swoim zwyczajem przyniosą na najbliższe posiedzenie specjalny projekt, opuszczą blokowców (będzie to koziołek, zwyczajowo przez nich ustalony) i pojawią się w ro i zbawców ojczyzny. Domysły dosyć zresztą obojętne, bo żonglerstwa narodowej demokracji przestały być interesujące nawet dla nieznużenie ciekawych. Baron Battaglia milczał również, bo zaprząta go podobno inna troska, zbieranie pieniędzy na nowy organ „węgiersko-pozytywny“.

Obrady w kwestji zasadniczej odroczono ostatecznie do najbliższego wtorku, poczym nastąpi dyskusja szczegółowa. Zwolennikom rzetelnej reformy wyborczej na tym absolutnie zależeć nie będzie, jeżeli potworek blokowców zmarnieje przedwcześnie w zawierusze zimowej. Będą niezawodnie bronili do końca zasad powszechności, w dyskusji szczegółowej i w głosowaniu będą się starali ocalić propozycje subkomitetu (20 mandatów z kurji czteroprzymiotnikowej, z biernym prawem wyborczym dla kobiet w kurji dotychczasowej). Jeżeli jednak kluby zblokowane uznają w mądrości swojej za stosowne propozycje subkomitetu, podjęte przez Klub reformy, przegłosować, słowem przejść do porządku dziennego nad tak wątpliwym stanowiskiem, rzeczą będzie wyborców dać taką odprawę nieustępliwej blokadzie przy najbliższych wyborach, aby popamiętali za jednym zamachem Mukden, Port Artura i Cuszimę. Zreformowa-

na przy wyborach rada sankcjonowanego ewentualnie przez blokowców potworka wsadzi na pamiątkę do spirytusu i uchwali taką nowelę, jaka zgodna będzie z duchem czasu i z interesem wydziedziczonych.

„ZWIĄZEK STRZELECKI". Pod taką nazwą zawiązało się we Lwowie towarzystwo, które postawiło sobie za zadanie, budzenie w Społeczeństwie polskim, a zwłaszcza wśród młodzieży zamiłowania do wiedzy i sztuki wojskowej oraz związanych z tym sportów.

„Związek" ma nadto — jak opiewa zatwierdzony przez namiestnictwo statut — wyrabiać wśród swych członków męskiego ducha dzielności, karności i łączności.

W pierwszym rzędzie organizuje „Związek strzelecki" dla członków swych naukę strzelania i musztry.

Skład Zarządu stanowią: inż. Wł. Sikorski jako przewodniczący, oraz inż. Downarowicz, dr. Hozer, dr. Konopacki, inż. Litwinowicz, dr Ostrowski i K. Sosnkowski. Do komisji rewizyjnej będącej zarazem Radą nadzorczą wchodzą: G. Daniłowski, Dr. Al. Lisiewicz, inż. H. Śliwiński. Do Sądu: inż K. Drewnowski, red. B Laskownicki, inż. J. Miedziobrodzki.

Dodać należy, że na półkach księgarskich pojawiła się już w ostatnich dniach książka p. t. „Regulamin musztry Związku strzeleckiego i elemetarna taktyka piechoty", wydana w Krakowie nakładem wydawnictwa „Życie". Starczy to dla nowej organizacji za szumne programy i gazeciarską reklamę. My poprzestaniemy na gorącym życzeniu, aby „Związek" stał się godną kontynuacją prac, prowadzonych ongi w Paryżu, Genui i Cuneo, kuźnicą nowych w narodzie czynów i nowego ducha.

SPRAWA TRUDNOWSKIEGO. Przed krakowskim sądem przysięgłych rozpoczęła się głośna sprawa młodego robotnika z Królestwa, członka Narodowego Związku Robotniczego, Stanisława Trudnowskiego, o to, że w dniu 8. sierpnia b. r. na rynku krakowskim popełnił morderstwo skrytobójcze na osobie Stanisława Rybaka, wybitnego członka tejże orgauizacji, jako zdrajcy i prowokatora. Litera prawa zakazuje nam przesądzać o rezultatach rozprawy; zakazuje nam również to czynić sumienie obywatelskie. Zresztą Trudnowski nie wypiera się swego czynu i objektywnie dopuścił się zbrodni. Czy popełnił ją subjektywnie? Akt oskarżenia uważa to za rzecz obojętną dla osądzenia sprawy. „Czas" i „Nowiny", naruszając prawo, pouczały przysięgłych, że mają mieć oczy zamknięte na wewnętrzne pobudki czynu. Drzemał wówczas może ołówek prokuratorski. Może dlatego, że akt oskarżenia orzekał to samo, co orzekła część prasy polskiej...

Nie wchodząc w to, jakie przysięgli zajmą stanowisko względem etycznej treści czynu Stanisława Trudnowskiego, nie wchodząc nawet w to, czy szpiegiem był Rybak, jedno stwierdzić mamy prawo: że Trudnowski był wysłańcem organizacji, do której należał duchem i krwią, że działał z jej rozkazu i w przeświadczeniu, że uwalnia sprawę publiczną od niebezpiecznego wroga, społeczeństwo zaś i lud polski od jednostki zbrodniczej, będącej jego zakałą. Ze Narodowy Związek Robotniczy uważa zdradę Rybaka za rzecz dowiedziną, o tym powszechnie wiadomo; każdy również, znający życie w zaborze rosyjskim, wie, że niepodobieństwem jest najczęściej w wypadkach dowiedzionej zdrady przeprowadzić pełny dowód na to przed sądem, czy w prasie. Dowodem jest orzeczenie partji, poparte jej moralną powagą. Olbrzymia musiała być dla Trudnowskiego powaga organizacji, w której szeregach walczył. Dla niego pewnikiem była zdrada Rybaka.

Czy sędziowie przysięgli wezmą powyższe powszechnie znane momenty pod uwagę, tego przesądzać nie chcemy. Od opinji publicznej jednak żądamy, by osądzając tak lub inaczej szkodliwość polityczną czynu i czyn ów sam w sobie, uznał w Trudnowskim zgodnie z oczywistą prawdą, zbłąkanego w gąszczu naszych niedoli polskiego tułacza-żołnierza.

Z KRAKOWA. 23. listopada 1910.

(T. Wr.) Stękała góra, narodziła się mysz — pomyślal niejeden, wychodząc z wykładu Ks. Zimmermanna we wtorek 22 b. m. z sali Kopernika w uniwersytecie Jagiellońskim. Jakżeż to nie chlubił się rektorowym nabytkiem, ogłaszając nominację ks. Zimmermanna! jakiejże reklamy nie pominął „Czas", „Głos narodu" i bezmyślnie powtarzająca za nimi frazesy „Nowa Reforma", wysławiając „chrześcijańskiego socjologa"! Senat akademicki nie mógł znaleść dosyć słów ubolewania dla młodzieży, która ośmieliła się zwalczać pochód zaborczy wydziału teologicznego w dziedzinę dotąd dlań niedostępną; w skandalicznym „ukazie", z którego aż nadto wyraźnie przebija pióro partyjnego kolegi ks. Zimmermanna, prof. Czerkawskiego, chrześcijańskiego ekonomisty, ogłosił oddanie całej sprawy prokuratorji i sądom państwowym. Dla ochrony socjologa chrześcijańskiego ośmieszył się senat niebywale w oczach przeciwników, którzy z niekłamaną satysfakcją oczekują wkroczenia prokuratorji, nie mogąc dopatrzyć się w kodeksie karnym paragrafu, przeciw któremu wykroczyliby demonstranci. Zdaje się, że już zorjentował się senat pod tym względem i zauważył w dodatku, że oddaniem sprawy sądowi przyznał się publicznie do zupełnej bezsilności i braku wpływu wśród młodzieży. Zwolenicy też senatu starają mu się ułatwić odwrót i uchwalają rezolucję wstawającą się za rzekomo zagrożonymi demonstrantami. Jakiś zaś obrońca policyjno-senackiego ukazu usiłuje w ten sposób odwrócić odium publiczne do niego, że w „Głosie narodu" szlachetnie denuncjuje Królewiaków jako sprawców demonstracji, licząc na niechęć spokojnych obywateli do „obcokrajowców" z za kordonu (artykuł zdradza pióro to samo, które układało ukaz senatu).

I cała ta kompromitacja z wołaniem prokuratorji po to, aby ocalić publicum ks. Zimmermanna! Odbyło się ono w spokoju, bo młodzież postępowa wobec takiej sytuacji przestała się zajmować bladą osobistością „socjologa" a zwróciła się przeciw senatowi. I to właśnie stało się nieszczęściem ks. Zimmermana. Dopóty mógł być ogłoszony jako mędrzec, póki milczał i gdy zaczął mówić, ochłodził zapał najgorętszych zwolenników. Okazał się mniej niż mizernym prelegentem. Nawet wykład prof. Czerkawskiego może być uznany za poważny wobec płytkiej frazeologii „socjologa". Jak zwyczajny reporter, tylko znacznie mniej interesująco, uświadamiał Krakowian, że w Wielkopolsce są hakatyści i że Polacy przeciw nim się bronią, opowiadał także o wywłaszczeniu. Nawet gromada urzędników, księży i dewotek, które wpuszczono na wykład przez tylne drzwi dla ostrożności nie mogła się zdobyć na entuzjazm.

Więcej zrobi ks. Zimmermann wykładami swymi, dla skompromitowania pomysłu „socjologji chrześcijańskiej", niż gdyby one zostały uniemożliwione. W każdym razie demonstracja młodzieży postępowej odegrała poważną i dobroczynną rolę: zdemaskowała szarlatana naukowego, odebrała mu ochotę na jakiś czas przynajmniej do szukania laurów politycznych, a senatowi wybiła chyba z głowy powoływanie agitatorów w sutannie na katedry naukowe.

Dodać należy, że chrześcijański socjolog powędrował dzisiaj wraz z innymi profesorami teologji do biskupa Puzyny składać przysięgę na bezwzględne posłuszeństwo dogmatom; wczoraj składali ją katecheci szkół średnich i ludowych.

WYRODNI I CNOTLIWI. (Wd.) Po skandalicznym zdemaskowaniu paulinów jasnogórskich w obozie klerykalnym nastąpiła zupełna konsternacja. Obrona polegała wyłącznie na wzywaniu z ambon wiernych, by przestali wogóle czytywać słowo drukowane, które w dzisiejszych brzydkich, masońskich czasach, wszystko, bez wyjątku, djabłu świeczkę pali... Dziś nastało już częściowe otrzeźwienie: tyralierzy rozpoczęli jezuicki kurs, którego drogowskazami były komunikaty Pawelskiego i Teodorowicza, a wytyczną szukanie winowajców w przeciwnym obozie — z bolnoj hołowy ta na zdorowuju. Obok tego prasa klerykalna stara się przedstawić częstochowskich złodziejaszków i skrytobójców, jako nieliczne, procentowo niemal nieuniknione, wyrodne jednostki, włączając w grono winowajców niedawno jeszcze tak szumnie wielbionego przeora Rejmana (patrz między innymi ostatnie przed skandalem korespondencje warszawskie „Nowej Reformy"), z całą rozwagą oddając go na pastwę, w tym stopniu niezasłużoną może, w imię naczelnej zasady — cel uświęca środki, przeciwstawiając wzamian drugą grupę paulinowską, jako godny naśladowania wzór mniszych cnót i pogardy do wszystkiego co ziemskie.

Świeżo obiegł prasę artykuł „Ateneum kapłańskiego", organu biskupa Zdzitowieckiego, zarzucający Rejmanowi, że zajmował się tylko „naprawianiem i przyozdabianiem murów", oraz „materjalną stroną klasztoru", a zaniedbał ducha. „Była w klasztorze garstka ludzi, przejętych ideą zakonu, ale tych właśnie przeor lekceważył;... bolało to i przerażało zakonników dobrych;... nieraz prze-

wiedzeni oni byli do rozpaczy..." Tak „wyraźnie zarysowały się dwa obozy..." Wiadomo, że na czele obozu owych „dobrych" pasterzy, cnotliwych ascetów, stał obecny przeor ks. Weloński.

W zbożnym pragnieniu obaleniu legendy klerykalnej o „zakonnikach dobrych", przeciwnych jakoby złoceniu Baala, urządzaniu atrakcji dla pielgrzymów i wogóle prowadzeniu interesu zgodnie z wymogami wielkiego przedsiębiorstwa dochodowego, przypomnę tutaj snać zupełnie już zapomnianą sprawę ozdobienia Jasnej Góry „stacjami męki pańskiej". Przypomnę, że wydatek na reparację wieży klasztornej, co już wielokrotnie prasa wypominała Rejmanowi, stanowi nikły drobiazg w porównaniu z 600.000 rubli wyasygnowanych rzeźbiarzowi Piusowi Welońskiemu na postawienie naokół klasztoru 12 grup rzeźbiarskich, zdaniem rzeczoznawców bardzo mało mających wspólnego z wymogami istotnej sztuki. Proste zestawienie nazwiska chorążego bogobojnych mnichów z nazwiskiem rzeźbiarza nasuwa pewne wątpliwości o ile zasadne jest wydzielanie paulińskich anachoretów z całej pozostałej części zacnego grona strażników „skarbu narodowego", ażali istotnie godzi się im stawiać zarzuty, jakoby wyrzekli się oni kłosiem polnem umajać złotodajną strażnicę, jakoby zapomnieli tak zupełnie już o tych najbliższych, o tych osieroconych, tak wspólnotą krwi legalnie lub nielegalnie związanych...

Zresztą sprawy tej nie przesądzamy. Pragnęlibyśmy tylko bardzo dowiedzieć się w jakim stopniu pokrewieństwa znajduje się wielebny przeor ojciec Weloński do naszego zacnego i cenionego Imć Pana Piusa Welońskiego...

Od Redakcji.

Z niezależnych od nas przyczyn technicznej natury, byliśmy zmuszeni odłożyć do następnego zeszytu między innymi artykułami, rzecz dra Tobiasza Aschkenazego, wiceprezydenta miasta Lwowa, o „Prawie wyborczym kobiet".

„Życie" wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 30 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal.** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Lwów, ul. Dwernickiego l. 11 A.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9 do 1 przed południem. Redaktor przyjmuje codziennie między g. 12—1.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.
Redaktor naczelny Gustaw Daniłowski.
Redaktor odpowiedzialny Juliusz Łopatka.

Elektryczność

Z POWODU ZNIŻENIA TARYFY O 25% ORAZ DZIĘKI WPROWADZENIU LAMPEK METALOWYCH STAŁA SIĘ WE LWOWIE DOSTĘPNĄ DLA WSZYSTKICH JAKO NAJLEPSZE I JEDYNIE ZDROWE OŚWIETLENIE ORAZ NAJLEPSZY I NAJTAŃSZY POPĘD MOTORÓW PRZEMYSŁOWYCH. :: :: :: :: :: :: :: :: ::

INFORMACJI UDZIELA BIURO, ULICA WULECKA L. 12. — TELEFON Nr. 779.

INSPEKCJA CAŁONOCNA.

BRACIA MUND - - LWÓW

Biuro: ul. Sykstuska 23

Fabryka: Łyczaków 118

największy skład materyałów budowlanych - - - Fabryka wyrobów cementowych i asfaltu - - - Przedsiębiorstwo budowy kanałów, bruków, robót betonowych, urządzeń sanitarnych etc. etc.

Dostawcy i przedsiębiorcy: c. k. Rządu, Kolei państw., Wydziału kraj., Rad powiatowych, Gminy miasta Lwowa etc.

Pierwszorzędne referencye za wykonane roboty - - -

Odznaczeni na wystawach krajowych i obcych.

„Światło Wiktorin“



Inwertlampa spirytusowa o sile 50—120 świec. Najidealniejsze i najnowsze oświetlenie. Koszta denaturowanego spirytusu 3 hal. na godzinę. Bez żadnych przewodów ani też montowań, daje się łatwo przenosić. Trwałość zagwarantowana. Zbadane przez władze państwowe i uznane za doskonałe.

WYŁĄCZNE ZASTĘPSTWO

OSKAR FASSLER

Warstat reparacyjny - wszelkie przybory elektryczne

Lwów, Sykstuska 29.

FABRYKA ZAŁOŻONA W R. 782.

J. A. BACZEWSKI

c. k. dostawca nadworny — Lwów

poleca

PRAWDZIWE POLSKIE WÓDKI I NAJPRZEDNIEJSZE LIKIERY.

Wysyłka na prowincyę!

Wysyłka spirytusu w blaszkach 5-kilowych.

Schowki depozytowe

w osobnych szkatułach pod własnem zamknięciem najpewniejszy sposób przechowania papierów wartościowych i kosztowności — poleca

DOM BANKOWY

SOKAL i LILIEN

Abonament roczny, półroczny i kwartalny.

Prospekty na żądanie.

Wypożyczalnia książek

pod firmą

„KSIĄŻNICA LITERACKO-NAUKOWA“

ul. Kopernika 14.

Najcelniejsze utwory literatury powszechnej.

! Najświeższe nowości !

Dla pp. Akademików i Studentów ZNIŻONE CENY.